Rocznik VIII. MAJ. 1904. N. 5



WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE

STUDIUM — MESSIS QUIDEM MULTA OPERARII AUTEM PAUCI — LABOR

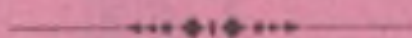
Guido z Brugo

Turyn. Oratoryum św. Franciszka Salezego. 32, Via Cottolengo

ZAKŁAD SALEZYAŃSKI

w Ivrei (prow. turyńska) we Włoszech,

dla młodzieńców polskiej narodowości, którzy, w dojrzalszym już będąc wieku, pragną poświęcić się stanowi duchownemu i misyom.



Zakład ten otworzony w r. 1894 w Lombriasco, został przeniesiony do Ivrei 1901 r.

Zdrowe powietrze, malownicze położenie, obszerny lokal z wielkiemi salami szkolnemi i jadalnemi, duży dziedziniec dla rozrywek i piękny ogród, uprzyjemniają w nim pobyt i składają się na to, iż wychowankowie mają na miejscu wszelkie niezbędne warunki do osiągnienia głównego swego celu, jakim jest ćwiczenie się w cnotach i nabywanie pożytecznej wiedzy.

Cel zakładu.

Św. Wincenty a Paulo mawiał: „*Jednym z najpiękniejszych uczynków jest ułatwienie komuś wstąpienia do stanu duchownego.*“ W dzisiejszych zwłaszcza czasach daje się powszechnie uczuwać wielki brak kapłanów, szczególnie na misyach zagranicznych, i coraz głośniej rozlegają się znane słowa św. Franciszka Xawerego, powtarzane bezustannie przez wszystkich misyonarzy: „*Ślijcie nam w pomoc pracowników ewangielicznych.*“

Otóż ze względu na tę ogólną potrzebę, a krom tego z przyczyny silnej i niemal z każdym rokiem zwiększającej się emigracyi na obczyznę w ostatnich szczególnie latach, przedewszystkiem zaś dla ciągłych próśb, napływających z różnych stron Ameryki o przysłanie kapłanów, postanowili XX. Selezyanie dołączyć do liczby już i tak licznych swych zakładów naukowo-wychowawczych jeszcze jeden i przeznaczyć go wyłącznie do kształcenia na księży salezyańskich tych narodowości polskiej już nieco w wieku podeszłym będących młodzieńców, co powołani jako pracownicy a może i mężni na misyach zagranicznych apostołowie do winnicy Pańskiej, z trudnością gdzieindziej mogliby odpowiedzieć powołaniu Bożemu.

Oto w krótkich słowach cel *Zakładu salezyańskiego w Ivrei.*

W zakładzie udziela się nauki języka łacińskiego, polskiego, włoskiego, geografii, arytmetyki i t. d. Oprócz tego uczniowie mogą się wyuczyć śpiewu.

Warunki przyjęcia.

Młodzieniec, pragnący być przyjętym do Zakładu salezyańskiego w Ivrei, powinien:

1. mieć przynajmniej 16 lat skończonych, lecz nie więcej jak 30;
2. mieć chęć poświęcenia się stanowi duchownemu w życiu zakonnem;
3. ukończyć szkoły elementarne, lub przynajmniej znaczną część takowych;
4. podać prośbę o przyjęcie do dyrektora zakładu *(adres podany poniżej)* (1);
5. do prośby o przyjęcie dołączyć następujące świadectwa:
   a) metrykę i świadectwo bierzmowania;
   b) świadectwo szczepionej ospy i dobrego stanu zdrowia od lekarza;
   c) świadectwo przykładnego prowadzenia się od miejscowego proboszcza;
   d) świadectwo szkolne z ostatniej przynajmniej klasy, do której uczęszczał.

Pensya.

1. W zakładach XX. Salezyanów udziela się nauki bezpłatnie. Nauczyciele zadawalniają się tem, że pracują na większą chwałę Bożą i pożytek młodzieży. Z powodu jednakże niezmiernych wydatków na wikt, utrzymanie i t. p. naznaczamy pensyę miesięczną 25 franków (=20,50 marek lub 24,75 koron, lub 9,60 rubli).

2. Młodzieńcy otrzymują na *śniadanie* chleb i kawę: na *obiad* zupę i chleb dowoli, potrawę mięsną, wino, a prócz tego w niedzielę i czwartek owoc: na *podwieczorek* bułkę: na wieczerzę zupę i chleb dowoli, potrawę i wino.

(1) Zwracamy uwagę na to, że pod żadnym warunkiem nie przyjmujemy nikogo, kto przedtem nie podał formalnej piśmiennej prośby o przyjęcie.

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

PRZEGLĄD DZIEŁ X. BOSKO.
Turyn. — Oratoryum św. Franciszka Salezego.

ROCZNIK VIII. Nr. 5. Wychodzą co miesiąc. MAJ 1904.

TREŚĆ:

Marya Wspomożycielka i X. Bosko.

Już się rozpoczął miesiąc naszej ukochanej Matki i weselimy się wszyscy, składając codziennie w świętem współzawodnictwie wielkiej Królowej nieba i ziemi szczere dowody naszej miłości, naszej wdzięczności i prawdziwej naszej pobożności. Jak pięknym i drogim jest dla nas wszystkich ten miesiąc! Przyroda sama odpowiada naszej słodkiej radości całym przepychem swej świetności i swego blasku. Wszystko jest życiem, wszystko uśmiechem, wszystko weselem na ziemi: życiem, uśmiechem, weselem, które przemawiają do naszego serca i napawają nas jakąś tajemniczą błogością, której usta nie umieją wypowiedzieć, lecz którą serce składa w uniesieniu u stóp ołtarza naszej Wspomożycielki.

Słońce o wiele jaśniej świeci na niebie, a ziemia niknie pod różnobarwnym całunem traw i kwiatów; uśmiecha się pagórek, weseli łąka, raduje dolina: w letniem powietrzu rozbrzmiewają w około wesołe piosenki i rozchodzi się cudna woń. O szlachetny miesiącu łask i kwiatów, jak bardzo nam przypominasz naszą można Patronkę, jak niepowtrzymanie prowadzisz nas do stóp Jej ołtarzy dla wpatrywania się z przyjemnością w Jej niebiańską piękność, dla rozkoszowania się wonią Jej żadkich cnót, dla doznania dowodów Jej niewyczerpanego miłosierdzia! Czy to bowiem

nie Marya jest uśmiechem Nieba? czy to nie Marya jest owem lśniącem słońcem, które swym blaskiem oświeca całą ziemię? czy to nie Marya jest owym mistycznym księżycem, który swym srebrnym promieniem rozprasza ciemności nocy tego świata? czy to nie Marya jest ową jutrzenką błyszczącą na wschodzie, która zwiastuje narodom pokój, zbawienie i życie?

*
* *

Co mamy w przyrodzie pięknego, cudnego i szlachetnego, wszystko to wyobraża Maryę, wszystko to zostało użyte przez proroków jako obraz przedstawiający Maryę. Marya zatem jest przedstawioną w skromnym kwiatku polnym, w białej lilii rosnącej w dolinie, w ogródku zamkniętym, w nakrytej krynicy: Marya jest różą Jerychońską, jest palmą z Kades; Marya jest owym jaworem, który nad brzegiem rzeki wznosi się jak olbrzym: Marya jest owym cedrem, który wznosi się na pysznym szczycie Libanu, jest owym cyprysem, który zdobi cudne skłony Syonu: Marya jest owym pachnącym balsamem, ową mirą wyborową, która roznosi wokoło najmilszą woń i uzdrawia rany naszego serca. Czy nie mamy więc powodu radować się z rozbudzenia się przyrody, a więcej jeszcze z tego, iż danem nam jest spędzać teraz błogie chwile u stóp ołtarza Tej, która była sprężyną i podporą przedziwnego dzieła naszego dobrego Ojca X. Bosko? Było to dzieło całkiem nadprzyrodzone, boskie: musiało więc w sposób szczególny być dziełem serca Maryi, która jest matką pięknej miłości, jest pomocą, podporą, obroną ludu chrześcijańskiego.

*
* *

X. Bosko wybrał Pannę Maryę Wspomożycielkę za Patronkę swych dzieł, ten wybór atoli kryje w sobie tajemnicę, której nie może pojąć kto nie jest oświecony jasną pochodnią wiary. Nie bowiem X. Bosko wybrał, lecz on został wybrany, a to jest bezsprzecznie rzeczą wielką i chwalebną dla pokornego sługi Bożego. Dlatego też powtarzał on często słowa Pana Jezusa: « Nie wy wybraliście mnie, lecz ja wybrałem was ». Zwykł był również mawiać: « Gdyby Najśw. Panna Marya Wspomożycielka znalazła była człowieka lichszego i biedniejszego od X. Bosko, tego byłaby wybrała zamiast mnie ».

Lecz dlaczego Matka Boska powierzyła księdzu Bosko założenie naszego pobożnego Zgromadzenia? Ponieważ chciała, by się rozszerzyła Jej cześć pod wezwaniem *Wspomożycielki chrześcijan*. — Pójdź, rzekła boska Pasterka do X. Bosko, chcę bowiem, byś miał udział w mych pracach, chcę, byś był koadjutorem Koadjutorki Odkupiciela świata. Pójdź, a dam ci cześć mego serca i mej władzy. Ty będziesz ojcem licznego ludu.

X. Bosko przeto, podniecony ogniem miłości, zbiera opuszczonych całemi tysiącami: dla niego imię Maryi Wspomożycielki nie jest czczym tylko wyrazem. Jego posłannictwem było pobudzić innych do podziwiania i miłowania jednej z najkosztowniejszych pereł, jakie błyszczą w koronie wielkiej Królowej nieba. Jednemu mówi Pan: « głoś Niepokalane Poczęcie »; innemu: « opowiadaj Ofiarowanie Mej Matki w świątyni »; temu: « wywyższaj Nawiedzenie Matki Bożej »; owemu: « staraj się, by miłowano Maryę, Ucieczkę grzeszników »; księdzu Bosko zaś rzekł: « ty dasz poznać, kim jest Marya Wspomożycielka... »

Po raz wtóry Marya woła X. Bosko i mówi: — Pójdź, gdyż chcę wykształcić i wychować sierotki, którzy nie znają

jeszcze ich Ojca niebieskiego i nie umieją prawd wiary św. Ty będziesz Patryarchą, a twoi synowie apostołami. — I X. Bosko zmienił się istotnie w ojca gorliwych apostołów, dzielnych żołnierzy, nieustraszonych misyonarzy...

Oto, łaskawi Czytelnicy, czem Marya Wspomożycielka zrobiła X. Bosko i jak zdziałała tyle cudów za pośrednictwem tego naszego Ojca. Była to poniekąd sprawa nader łatwa, gdyż był on jakoby dzieckiem: dzieckiem dla swej prostoty, dzieckiem dla swej pokory i słodyczy, zawsze małym w oczach własnych, lecz zawsze posłusznym na głos swej niebiańskiej Patronki. Dlatego Marya mogła nim kierować, prowadzić go na Kalwaryę i na Tabor, doświadczyć w boleści i w upokorzeniu, wznieść do najwyższego szczytu chwały bez obawy, by przez to miał odmienić swój charakter lub nizkie poważanie jakie miał o sobie. X. Bosko był zawsze dzieckiem w ręku Opatrzności: to właśnie jest sekretem, to jest przyczyną jego wielkości i sławy. A to wszystko czy nie jest zdolne wzniecić w naszych sercach świętego zapału do poświęcenia Maryi tego miesiąca?

W zeszłym numerze pisaliśmy, jak można najlepiej i najłatwiej uczcić Matkę Najświętszą. Tu przeto ograniczamy się na ponownem zachęceniu naszych Pomocników do częstego uciekania się w tym najpiękniejszym z całego roku miesiącu do Najśw. Wspomożycielki Wiernych, — i do przystąpienia z miłości ku Niej (o czem żeśmy poprzednio nie wspomnieli) przynajmniej raz do św. Sakramentów spowiedzi i Komunii św., — a to dla ożywienia naszej wiary i uproszenia nowych i obfitszych łask duchownych i doczesnych dla nas i dla wszystkich osób drogich naszemu sercu.

KSIĄDZ BOSKO A WYCHOWANIE.

CZĘŚĆ CZWARTA.

Różne dzieła wychowawcze, założone przez X. Bosko.

(Ciąg dalszy).

II.

Schroniska rzemieślnicze.

Ks. Bosko, jak wogóle święci, był mężem najzupełniej opatrznościowym. Ważne posłannictwo powierzyło mu niebo, a Duch Boży prowadził go do uskutecznienia dzieł pamiętnych i pożytecznych. Jak zdarzeniu opatrznościowemu zawdzięczamy powstanie kaplic świątecznych, tak i Opatrzność wskazała mu w sposób niezwykły inne potrzeby społeczne i powołała go na założyciela schronisk rzemieślniczych. Początki Oratoryum św. Franciszka Salezego należą do najznamienniejszych faktów z życia wielkiego wychowawcy.

Było to w maju r. 1847. Deszcz lał wtedy jak z cebra. Ks. Bosko z matką Małgorzatą cotylko wstali byli od wieczerzy, kiedy do ich drzwi zapukał nieśmiało jakiś chłopczyk przemokły od stóp do głów, prosząc o kawałek

chleba i nocleg. Matka Małgorzata przyjęła go bardzo gościnnie w kuchence, kazała mu się przybliżyć do ognia i podała mu zupy i chleba. Gdy się dostatecznie ogrzał, osuszył i posilił, opowiedział swoją historyę temi słowy: „Jestem biedny sierota. Przybyłem niedawno z *Valsesia* do Turynu, aby sobie znaleźć robotę, jestem bowiem z zawodu murarzem. Wychodząc z domu, miałem 3 franki, które wydałem, zanim mi się co zarobić udało. Teraz nie posiadam nic i nie mam żadnego zajęcia.“

— Czy byłeś już u pierwszej Komunii św.?

— Nie, jeszcze nie byłem.

— A czyś był kiedy u spowiedzi?

— Byłem parę razy, kiedy jeszcze żyła moja droga matka.

— A teraz dokąd zamyślasz się udać?

— Sam nie wiem: proszę Was na miłość Boską, abyście mnie przyjęli na noc; zadowolę się jakimbądź kącikiem. — To mówiąc, rozpłakał się.

— Chcesz, Janie, rzekła Małgorzata, przyjmiemy go.

— A gdzież go umieścimy?

— Zostanie tu w kuchni.

Wtenczas matka ze synem wyszli na podwórko i przy pomocy owego sierotki nazbierali kilka cegieł, ułożyli z nich na środku kuchni cztery słupki, na to położyli dwie czy trzy deski, potem rozesłali na nich siennik, prześcieradła i kołdrę. Takie było pierwsze łóżko i tak wyglądała pierwsza sypialnia schroniska salezyańskiego.

Chłopiec znalazł sobie tymczasem robotę, wychodził rano a powracał do schroniska wieczorem. W jesieni wyjechał z Turynu, powrócił w strony rodzinne i przepadł bez wieści

W miesiąc potem już pod wieczór wracał ks. Bosko z kościoła św. Franciszka z Asyżu. Przechodząc przez aleje na *Corso San Massimo* (dziś *Corso Regina Margherita*), ujrzał jakiegoś chłopczynę, który oparłszy głowę o wiąz, rzewnie płakał. Opiekun młodzieży wzruszony tym widokiem, zbliżył się do chłopca i spytał:

— Co ci mój synu, czemu płaczesz?

— Matka mi umarła.

— Kiedy?

— Dziś rano ją pochowano.

— A ojciec?

— Już dawno mnie odumarł.

— Gdzie mieszkasz?

— Tej nocy spałem w mieszkaniu wynajętem jeszcze przez moją matkę; lecz dzisiaj gospodarz, z powodu że nie mieliśmy czem zapłacić *komornego*, przywłaszczył sobie tych niewiele sprzętów, któreśmy posiadali i zaledwie zwłoki matki wyniesiono na cmentarz, zamknął zaraz izbę na klucz, a ja zostałem sierotą, ogołoconym ze wszystkiego.

— Dokąd się chcesz udać?

— Nie wiem.

— Pójdź ze mną.

Chłopczyk płacząc udał się za księdzem. Ks. Bosko opowiedział rzecz matce swojej i powierzył jej chłopca, który znalazł sobie wkrótce towarzysza, potem drugiego, trzeciego, czwartego; przed końcem roku 1848. było ich już trzydziestu. Młodzież ta spędzała noc w Oratoryum, a rano po pacierzu, Mszy św. i skromnem śniadaniu wychodziła na miasto do roboty.

Chcąc dać przytułek tym biednym dzieciom Opatrzności, ks. Bosko wynajmował pokoje domu p. Pinardi’ego, w miarę jak się wypróżniały z dawniejszych lokatorów; dnia 15 ^{go} lutego 1851 r. kupił całe zabudowanie i odtąd liczba przytulonych chłopców wzrastała nieustannie. W roku 1854 przyjął ks. Bosko dwadzieścia sierot poleconych przez magistrat turyński i zbudował nowy dom, wskutek czego w roku 1856 liczba chłopców doszła do 150^{ciu}. Przy pomocy Bożej wzniesiono warsztaty i od tego czasu uczniowie kształcili się w domu, w którym równocześnie powstały także klasy niższe i wydziałowe. Taki początek miały salezyańskie zakłady rzemieślnicze.

Zakłady te znacznie się różnią od kaplic świątecznych, jak to łatwo zrozumieć. W kaplicy świątecznej młodzież zbiera się w święta i dni wakacyjne, a tylko niektórzy uczęszczają na codzienne kursa wieczorne. Przeciwnie zakład rzemieślniczy to prawdziwe ognisko domowe sierot lub dzieci ubogich i zaniedbanych, to wielka rodzina chrześcijańska, a stąd wszystko w niej rodzinne, ojcowskie, braterskie.

Duch rodzinny, posunięty do najwyższego stopnia szczerości, stanowi poniekąd cechę do-

mów salezyańskich, które zgoła w niczem nie są podobne do owych ponurych ciemnic, gdzie młodzież żyje smutna, posępna i nieszczęśliwa. Zatrzymawszy wzrok na młodzieży schronisk salezyańskich, spostrzegamy twarze wesołe i zadowolone, wygląd łogodny i uprzejmy; widzimy, że im tu dobrze, jak we własnym domu i że im wszystko do smaku przypada. Dlatego to chłopcy przywięzują się szczerze do zakładów i ciężko im się z nimi rozstać nawet w chwili wyjazdu na wakacye. Wielu przeto pozostaje w nich nawet po ukończeniu terminatorstwa aż do poboru wojskowego, a częstokroć i po spełnieniu tego obywatelskiego obowiązku wracają do ulubionego zakładu.

Owszem niektórzy tak dalece przejmują się duchem tych schronisk, że postanawiają spędzić w nich całe życie i tworzą większą część salezyańskich braci koadjutorów. Zostawszy następnie majstrami rzemiosł, oddają innym dowody troskliwej opieki, której poprzednio sami doznali. Byli dziećmi, a stają się ojcami.

Bo też istotnie ojcowskiem jest stanowisko przełożonych w domach salezyańskich. Ks. Bosko był uosobieniem dobroci, słodyczą samą; nie pozwalał się nazywać ojcem, ale w rzeczywistości któż nim był więcej od niego? Cały jego system wychowawczy polega na dobroci i słodyczy. „Nic przemocą — wszystko miłością“, oto jego hasło. Wiedzą to uczniowie i dlatego w każdym przełożonym widzą ojca i przyjaciela, zwierzają im się z troskami i pytają o radę, żyjąc z nimi w najściślejszych stosunkach. Ujęci dobrocią przełożonych i ich szczerością, darzą ich zupełnem zaufaniem, stają się dziećmi uległemi, życzliwemi i wdzięcznemi.

Z ojcostwa rodzi się braterstwo, jaśniejące głównie w wzajemnych stosunkach uczni i młodzieży, a objawiające się w panującym pomiędzy nimi pokoju i jedności. Jestto młodzież bardzo różnego pochodzenia, przeznaczona do rozmaitych zawodów. Jeden zostaje krawcem, drugi szewcem; ten stolarzem, tamten zecerem, jedni oddają się pracy ręcznej, inni umysłowej. Trafia się tu to, co bywa niekiedy w licznej rodzinie, gdzie jedni oddają się jednemu zawodowi, inni innemu; jedni opuszczają dom rodzinny, inni pozostają z rodzicami; brat jest proboszczem, siostra zakonnicą — ale ta różnica powołań w niczem nie narusza miłości i jedności serc.

W domach salezyańskich ocierają się tym sposobem terminatorowie o studentów; rzemieślnicy są w codziennym stosunku z kapłanem, a wszyscy znają się, cenią i miłują. Bo to rodzina chrześcijańska, bo wszyscy jednego czczą Ojca w niebiesiech, bo się modlą jeden obok drugiego, klękają do tej samej balustrady przy Komunii św. i biorą udział w tych samych obrzędach religijnych. Jak bardzo wzrusza widok członków rodziny salezyańskiej, przystępujących razem do Sakramentów św.! Kapłan, udający się do konfesyonału podczas Mszy św. wspólnej i w wigilię uroczystości, częstokroć sam się pierwszy spowiada, w obecności wszystkich. Następnie przystępują do spowiedzi księża, klerycy, studenci, rzemieślnicy, ale bez żadnego z góry wyznaczonego porządku; między terminatorami klęczy często kapłan, między studentami widać majstra szewskiego, a nieraz zdarza się, że dyrektor domu spowiada się po jakimś dziesięcioletnim malcu!

Szczęśliwa ta młodzież, którą takie przykłady w wierze utwierdzają! Być może, że kiedyś który z nich, uległszy ułudom świata, zboczy z prawej drogi, ale nigdy mu na myśl nie przyjdzie, że księża wymyślili spowiedź; podobne brednie nie będą miały przystępu do jego umysłu, bo widział kapłanów spowiadających się z młodzieżą, widział nauczycieli i majstrów swoich przystępujących z budującą pobożnością do Komunii św.

Oto obraz salezyańskiego schroniska rzemieślniczego: jest to raczej liczna rodzina, złączona węzłami chrześcijańskimi i żyjąca pod okiem Ojca Niebieskiego, który ją żywi, potrzymuje, nagradza i błogosławi.

Taki jest drugi rodzaj zakładów wychowawczych, założonych przez ks. Bosko. Zdają się być jego arcydziełem, a są niewątpliwie szkołą gruntownych chrześcijan i gorliwych zakonników, których życie i dzieła błyszczą w świecie całym blaskiem cnót obywatelskich i ewangelicznych.

(Ciąg dalszy nastąpi).



KOLUMBIA.

Druga podróż X. Rabagliati'ego względem lazaretu okręgowego w Antioquii.

I.

Przed wyjazdem.

Medellin (Kolumbia), 2. lutego 1903.

Najczcigodniejszy i Najdroższy Ojcze,

Od ostatniego mego listu upłynęło zaledwie ośm dni, nie mam przeto tą razą do zakomunikowania drogiemu Ojcu zbyt ważnych wiadomości

Właśnie dzisiaj w pałacu arcybiskupim miało miejsce zebranie komitetu przeze mnie zamianowanego, a potwierdzonego przez rząd, w celu budowy tego lazaretu okręgowego. Przewodniczył najprzew. X. Arcybiskup. Postanowiono, abym natychmiast przedsięwziął drugą podróż dla wyszukania potrzebnych do tego środków; w czasie mej nieobecności zaś komitet postara się o usunięcie tysiącznych przeszkód, opierających się urzeczywistnieniu tego przedsięwzięcia. Zaręczam czcigodnego Ojca, że wynalezienie wystarczających pieniędzy nie jest bynajmniej trudnością największą. Co do mnie, chciałbym biegać, latać, przyłożyć rękę do budowy i szybko ją skończyć; szatan atoli krzywem okiem patrzy na wznoszenie tych lazaretów, spostrzegłem się bowiem, iż uczyni on cotylko będzie mógł, by jeszcze raz obrócić wniwecz moje zamysły. Mimo to niech się stanie wola Boża; oddaję się we wszystkiem w ręce Opatrzności. Najukochańszy Ojciec zaś niechaj się nie przestrasza tem, że sprawy idą tak bardzo powoli!

Bądź co bądź jutro puszczę się odważnie w podróż. Jedna tylko rzecz mnie korci, to jest, iż jestem sam jeden. Ów kapłan, który przyrzekł zawsze mi towarzyszyć, z powodu lichego zdrowia kilku swych parafian zatelegrafował do X. arcybiskupa i do mnie, że tą razą — z obowiązku sumienia — nie może się oddalić na krok. Jest moim zamiarem powrócić tu w tygodniu Passyjnym, gdyż od Niedzieli Palmowej do Wielkanocy chciałbym odprawić rekolekcye. A zatem aż do owego czasu nie będę mógł pisać: chodzi mniej więcej o dwa miesiące milczenia; wiedząc atoli powód tego, będzie mógł Ojciec być równie spokojnym, tembardziej, że gdyby zaszło coś nowego, sam X. arcybiskup — z którym codziennie będę się znosił w drodze telegraficznej — nie omieszka naprawdę powiadomić Go o tem. Z tem wszystkiem, powtarzam, spodziewam się, iż Bóg mnie zaprowadzi i przyprowadzi z powrotem cało i zdrowo. Niechaj także drogi Ojciec poleca mnie codziennie w tym celu we

Mszy św. Z Bogotá nie mam świeżych wiadomości, myślę jednak, że Ojciec jest pomimo tego poinformowanym wprost o wszystkiem. Na zakończenie proszę czcigodnego Ojca o błogosławieństwo i kreślę się

Jego najposłuszniejszym synem w Panu

X. Ewazy Rabagliati.

II.

Po drugiej podróży.

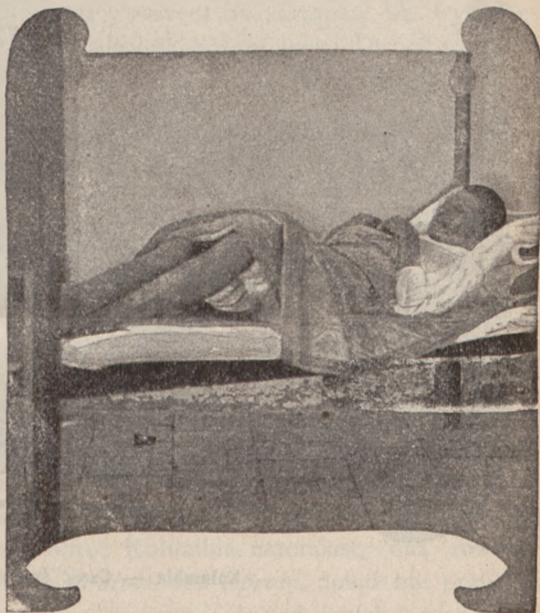
Medellin (Kolumbia), 2go kwietnia 1903.

NAJUKOCHAŃSZY OJCZE,

Powróciłem oto tylko co z mojej drugiej podróży wpośród mieszkańców tego okręgu Antioquii. W pierwszej zwiedziłem wszystkie miejscowości na południowym wschodzie, a teraz uczyniłem to samo wśród ludności na południu, posunąwszy się aż do okręgu Cauca. Ta druga podróż trwała pięćdziesiątsześć dni, które od świtu do nocy spędziłem prawie zawsze na grzbiecie trzech mułów. W miarę jak jeden się zmęczył, brałem drugiego, a poprzedniemu dozwalałem wywczasować się kilka dni dla odzyskania postradanych sił; w ten sposób kolejno zaniosły mnie z powrotem cało i zdrowo do Medellin.

W grudniu i styczniu odwiedziłem dwanaście osad i we wszystkich założyłem filię banku lazaretu dla trędowatych tego okręgu. W lutym i marcu postąpiłem tak samo w czternastu innych, z wynikiem o wiele pomyślniejszym niż za pierwszą razą, tak iż komitet mógł zbić dobry kapitał na korzyść tego olbrzymiego przedsięwzięcia. Ach! gdyby te banknoty kolumbijskie miały wartość mniej pogardliwą! Jakkolwiekbądź, mając ten kapitał tutaj zużytkować, ma on jeszcze jaką taką wartość, która z pewnością spadłaby prawie do zera, gdyby go miano zamienić na złoto (1).

Ta druga podróż udała się nader szczęśliwie jak poprzednia, chociaż była dłuższa, uciążliwsza i prawie pustelnicza, miałem bowiem z sobą tylko pewnego biednego młodzieńca, który mi wskazywał drogę. Spędziłem kilka takich dni, w których nie przemówiłem ani słówka. Chociaż jednak byłem strudzony fizycznie z powodu zbytniego podróżowania, mimo to moralnie zachowałem się rzeźwo bądź to dla świętości misyi jaką spełniałem, bądź też dla uniesienia jakie wszędzie napotykałem. Bez mojej wiedzy tak władze kościelne jak i cywilne, wyprzedziły mnie wszędy uprzejmemi poleceniami, wskutek czego XX. proboszczowie i pp. burmistrzowie okazali się dla mnie bardzo uprzejmymi i oddali mi liczne usługi, za które pozostanę im zawsze wdzięcznym.



Trędowaty w lazarecie w Agua de Dios.

Po Bogu, w większej części im należy przypisać pomyślny wynik tej podróży.

Nie brakło mi w niej różnych wypadków. W pewnem miejscu, a było to w pełnych górach, zatopiony w myślach, a więcej jeszcze niż czem innem, zajęty trzymaniem się dobrze w łęku w niebezpiecznem zejściu, które roztaczało się przede mną, słyszę naraz jakiś głos wołający mnie po nazwisku. Zdziwiony, zwracam wzrok w stronę, skąd mię ten głos doszedł, dla zobaczenia kto taki mógł mnie znać w owej okolicy, i widzę jakiegoś nieszczęśliwego trędowatego lecącego za mną i dającego mi znaki

(1) Proszę sobie wystawić! 10,000 znaczy tu jak dotąd tylko 100, i nie można doprawdy wyjść z podziwu, zważywszy, iż doszło już nawet do 24,000 na 0[0. — W ten sposób *milion pesos'ów* znaczy tu obecnie w rzeczywistości tylko *stotysięcy!...*

głosem i głową abym stanął, ponieważ miał mi coś do powiedzenia. Poznałem go natychmiast, widziałem go bowiem kilka miesięcy przedtem w lazarecie w *Agua de Dios*, w czasie październikowej misyi.

— Skąd się tu wziąłeś, synu? zagadnąłem go.

— Ach! Ojcze; jestem tu od kilku dni. Obawiając się, by w Manizales, mej ojczyźnie, nie poznano mnie przypadkiem i nie zmuszono wrócić do lazaretu, wolałem ukryć się w tym domku, pomiędzy temi górami, gdzie przynajmniej mam czem głód zaspokoić.



Kolumbia — Część środkowa lazaretu w Agua de Dios.

— Ale dlaczego opuściłeś lazaret?

— Dlatego, odpowiedział, że w lazarecie trzeba było przymierać z głodu. Ceny żywności codziennie stawały się droższe, a *danie* zawsze było to same: za jednego *pesosa* na dzień nie można już było wyżyć. Ja zaś, w tym stanie w jakim się znajduję, — bez rąk — a w następstwie tego nie mogąc się nawet oblec, potrzebowałem koniecznie kogoś do mej usługi, któremu naturalnie musiałem płacić i go żywić; ów biedny *pesos* rozdzielony na dwóch, nie miał już prawie żadnego znaczenia. Obydwaj cierpieliśmy istne konanie, które było zwiastunem niedalekiej śmierci. Trzeba więc było powziąć jakieś postanowienie: albo umrzeć z głodu, albo umknąć jak najprędzej. Wybrałem to ostatnie, gdyż chociaż jestem w tak nędznym stanie, jednak obawiam się śmierci. Zatem pewnego pięknego poranku opuściłem lazaret z pięćdziesięciu innymi towarzyszami trędowatymi i doszedłem tutaj po trzydiestu dniach drogi, żyjąc z jałmużny. Moi towarzysze, cierpiący więcej ode mnie, pozostali wtyle, lecz niezadługo nadejdą... Wiem, że źle sobie postąpiłem, dodał w końcu, a jednak nie żal mi tego, gdyż tu nie będę już tak cierpiał jak w lazarecie; jestem przytem pewien, że osoby, które mnie litościwie przyjęły, nie dozwolą mi umrzeć z głodu.

Pojąłem zaraz, iż jego postanowienie było nieodwołalne i że napróżno bym się trudził, gdybym się starał nakłonić go do powrotu do Agua de Dios, a to tem więcej, że sam byłem doskonale przekonanym o szczerości jego wywodów. Ograniczyłem się przeto na udzieleniu mu kilku rad, odnoszących się do sposobu, w jaki powinien sobie postępować z rodziną, która go przygarnęła z taką szczodrobliwością, aby jej nie zarazić trądem, dałem mu nieco pieniędzy i ruszyłem w dalszą drogę do Manizales. Tu dowiedziałem się od władz, iż wieść o przybyciu pięćdziesięciu trędowatych uciekinierów do miejscowości Pereira, odległej od Manizales zaledwie kilka mil, nabawiła wszyst-

kich, jak to łatwo zrozumieć, wielkiego strachu.

Jestem prócz tego zmuszony wyznać, iż niestety we wszystkich zwiedzonych przeze mnie miejscowościach natrafiłem na trędowatych, i że z powodu zbytniej styczności i obojętnego wspólnego pożycia zdrowych z chorymi, z dnia na dzień rozmnażają się coraz to bardziej ogniska zarazy. Słusznie można się obawiać, że — jeśli się nie zastosuje zaraz jakiego skutecznego środka — cała Kolumbia zamieni się wkrótce w niezmierny lazaret.

No a obecnie? Obecnie mamy tu zimę, a w tej porze roku drogi są nie do przebycia; rzeki wzbierają tak bardzo, iż dają wolne przejście przez siebie tylko ludziom nierozmyślnym, którzy po większej części swoją zuchwałość przypłacają życiem. Dlatego to zimowe miesiące spędzę tutaj i zaczekam, aż pogoda nie dozwoli mi podjąć na nowo przerwanych podróży. Za ten czas zaczniemy budować lazaret.

Niechaj drogi Ojciec pobłogosławi mnie, jak również nieszczęśliwych trędowatych, Salezyanów i Córki Maryi Wspomożycielki, którzy się nimi zajmują.

Z najgłębszą czcią i uległością pozostaję najukochańszego Ojca

posłusznym synem w Chrystusie

X. Ewazy Rabagliati.

III.

Położenie kamienia węgielnego pod budowę lazaretu okręgowego.

Niech żyje Marya Wspomożycielka!

Medellin (Kolumbia), 25. maja 1903.

Najczcigodniejszy Ojcze,

Wczoraj wreszcie, po blizko sześciu miesiącach podróży, prac i niepewności, można było poświęcić uroczyście kamień węgielny pod pierwszy lazaret okręgowy, jaki ma powstać w nieszczęśliwej Kolumbii.

Funkcya wypadła nadzwyczaj pięknie. X. arcybiskup przewodniczył osobiście tej uroczystości i poświęcił w katedrze kamień węgielny. Wokoło niego zebrało się wiele duchowieństwa i kwiat miejscowego obywatelstwa. Obok księdza arcybiskupa, otoczony swymi ministrami, siedział w osobnej trybunie gubernator okręgu Antioquii, jenerał Pompiliusz Gutierrez, bohater licznych bitew w nieszczęśliwej wojnie ostatniej, nazwanej tu *wojną trzydziestusiedmiu miesięcy!* W środku zasiadali w ławkach dla siebie przeznaczonych członkowie centralnego komitetu budowy lazaretu, o których mówiłem kilkakrotnie w mych poprzednich listach. W innych ławkach zastrzeżonych zajęli miejsce t. zw. ojcowie chrzestni, wybrani przez komitet dla opiekowania się tem trudnem przedsięwzięciem. Publiczność zajmowała trzy nawy świątyni.

Punkt o pierwszej popołudniu, według porządku ustanowionego, otrzymawszy błogosławieństwo od najczcigodniejszego X. arcybiskupa, piszący wszedł na kazalnicę dla wypowiedzenia mowy okolicznościowej. Dwóch trędowatych z Starego Testamentu posłużyło mi za osnowę.

Naaman, jenerał wojsk syryjskich, *vir fortis et dives, sed leprosus*, (mąż waleczny i bogaty, lecz trędowaty), który za radą niewolnicy żydowskiej opuszcza ojczyznę, dwór, rodzinę, wygody i w tym stanie, w jakim się znajduje, ze Syryi przechodzi do Samaryi szukając proroka Elizeusza, by zostać przez niego uzdrowionym i w zamian za to ofiarować mu bogate skarby, jakie był z sobą przyniósł, podał mi świetny argument do zrobienia porównania z Kolumbią. Naaman otrzymuje radę od niewolnicy, stosuje się do niej i wychodzi mu to na dobre; Kolumbia natomiast, ona również *fortis et dives, sed leprosa,* dotąd nie przywięzywała żadnej wagi do rad, jakich już od wielu lat jej się udziela w celu ocalenia zdrowych i uczynienia mniej smutnem położenia chorych, i wyszło jej to wprost na niepowetowaną szkodę. Naprawdę wzrost trędowatych, w ostatnich zwłaszcza latach, jest zastraszający i znany wszystkim. W stu latach, to jest, w ciągu wieku dziewiętnastego, dziewięćdziesięciudwu trędowatych pomnożyło się do trzydziestu tysięcy. Antioquia w r. 1850 nie miała ani jednego trędowatego; dzisiaj natomiast liczy ich całe setki. Cauca, inny nader bogaty okręg ościenny, był również wolny od trądu: obecnie zaś ma już pięć tysięcy trędowatych. Nie mówię nic o okręgu Santander, który sam od siebie posiada przeszło dwadzieścia tysięcy tych

nieszczęśliwych. Naszkicowawszy w ten sposób w głównym zarysie straszny obraz, jaki przedstawia Kolumbia z powodu trądu, zwróciłem się do obecnych i wypowiedziałem mniej więcej te słowa:

„Tak jest, wy Kolumbijczycy jesteście dzielni i bogaci, głównie jednak wy, antioquińczycy. Świadczą o tem kopalnie złota i srebra, w które obfitują wasze góry; to samo wykazują wasze doliny nadzwyczaj żyzne i wasze rzeki, których łożysko lśni się od złotego piasku. Za pięćdziesiąt lat piszący waszą historyę będą mogli śmiało powiedzieć, iż Antioquia jest bogata, *dives,* gdyż trąd nie zdoła wniknąć do wnętrza jej gór i rzek dla zakażenia ukrytego w nich skarbu. Nie będą atoli mogli już więcej pisać, że pozostała dotąd mężną, *fortis,* będzie bowiem trędowatą; a wiadomo każdemu, iż pokolenie trędowatych samo przez się skazane jest na wymarcie. Za jakie trzydzieści lub czterdzieści lat na cóż się przydadzą waszym wnukom obszerne dzierżawy, jeśli nie będą mogli ich uprawiać? Na cóż im się zda posiadać bogate, niewyczerpane kopalnie, jeśli nie będą w stanie dobywać ich zawartości? Co za pożytek będą mieli z posiadania wiele kawy, jeżeli obcy nie zechce jej przyjąć nawet w podarunku, podejrzywając, czy czasem nie została zebraną rękami trędowatego? Na cóż wam się przyda mieć liczne potomstwo, jeśli dzieci wasze doszedłszy do lat, w których powinnyby się zacząć ziszczać ich najpiękniejsze nadzieje, spostrzegą, że z powodu trądu mają nagniłe w sposób nieuleczalny członki, co będzie zwiastunem ich przedwczesnej śmierci?...“

Job był drugim bohaterem mej przemowy. Jego cierpliwość jest przysłowiową. W jednym dniu porwano mu trzody, a liczył na tysiące wielbłądy, owce, woły i zwierzęta juczne; w tym samym czasie jego domy zostały zburzone przez tajemniczy ogień spadły z nieba, straszliwy huragan zaś pogrzebał pod gruzami domu jego najstarszego syna innych siedmiu jego synów i trzy córki, a pomimo tego nie narzekał on i nie wylał ani jednej łzy, lecz *corruens in terram, adoravit:* rzuciwszy się na ziemię, oddał cześć Bogu. Następnie rzekł: nagi przyszedłem na ziemię, nagi też do niej powrócę. Pan mi dał wszystkie te rzeczy, Pan mi je odjął: *sit nomen Domini benedictum,* niech będzie imię Pańskie błogosławione. Jak wielkiego podziwu godną była ta jego cierpliwość!

Otóż za dozwoleniem Bożem, w bardzo krótkim względnie czasie, Job zostaje poddanym innej próbie: *Satan... percussit Job ulcere pessimo:* Szatan pokrył jego ciało wstrętnym wrzodem. Wówczas on, który dotychczas miał na ustach i w sercu same tylko błogosławieństwa dla Pana, chociaż tak nagle został pozbawionym dzieci i bogactw i ostał się sam jeden na świecie biedny i opuszczony, nie może już więcej się powstrzymać i poczyna biadać żałośnie. Atoli jakim sposobem to serce, które wpierw było tak łagodne i niedostępne dla wszelkiego poruszenia gniewu, przemieniło się teraz w istny wulkan, wyrzucający z siebie narzekania tak ciężkie, że niepodobna ich sobie nawet wyobrazić? Powód tego mamy w owym *ulcere pessimo,* którym jego ciało zostało pokryte od stóp do głów. Ów *ulcere pessimo,* owa straszna rana, jak twierdzi wielu tłumaczów Pisma Świętego, pomiędzy którymi św. Jan Chryzostom, byłto właśnie trąd — i to najgorszego rodzaju, nikt bowiem nie mógł spojrzeć na niego, ani też znieść fetoru rozchodzącego się z jego ran; dlatego to Job pobudzony do gniewu przez swoją żonę, uciekł z domu i z miasta, a to także dla zastosowania się do prawa, które nakazywało trędowatym żyć zdala od drugich. I tu dodałem:

„Lecz dlaczego opowiedziałem ten fakt? Dla przedstawienia wam tego, co wycierpieli i cierpią trędowaci każdego czasu. Wierzcie mi: jedynie trędowaty jest w stanie wiedzieć jak bolesnym jest trąd, głównie w swych następstwach. Już jedenaście lat mam z nimi do czynienia; za ten czas wybadałem ich, wypytałem, kilkakrotnie nawet starałem się wniknąć w tajniki ich serca dla zmierzenia ogromu ich cierpień, lecz to mi się nie udało: ogrom ich boleści jest wprost bezdenny. I jeżeli cierpią bardzo trędowaci w lazaretach w Agua de Dios i Contratacion, mimo czułej pieczy jaką o nich mają serca litościwe, o wiele więcej cierpią wszyscy inni, a są oni w większości, którzy żyją po za lazaretami.“

Nie waham się twierdzić, iż trąd jest nie-

przyjacielem nietylko ciała, lecz także i duszy; to pierwsze pokrywa strasznemi i nader obrzydliwemi ranami, drugą zaś napełnia namiętnościami i nałogami, które będą wzrastały z dnia na dzień i utrzymają się aż do śmierci, jeśli religia nie przeciwstawi im jakiego skutecznego środka. Co do mnie, uważam za pewne, że wogóle żyje dobrze i umiera święcie taki trędowaty, który spędza swój żywot w jakim lazarecie; i przeciwnie, żyje źle i umiera jeszcze gorzej ów trędowaty, który pędzi swój marny żywot po za lazaretem. Stąd powstaje potrzeba stawiania w Kolumbii lazaretów okręgowych, które, jeśli z jednej strony będą zbawieniem dla tej nieszczęsnej rzeczypospolitej, z drugiej znów będą odkupieniem moralnem i materyalnem dla dziesiątek tysięcy tych nieszczęśliwych. Czy się to uda? Bogu jedynemu wiadomo.

Po skończeniu przemowy najprzew. X. arcybiskup poświęcił uroczyście kamień węgielny, otoczony przez członków komitetu i ojców chrzestnych, którzy wraz z władzami rządowemi podpisali pergamin, który został następnie zamknięty w tym samym kamieniu, jak się to zwykło czynić w podobnych okazyach. Założono również zaraz *bank trędowatych antioqueńskich*, w którym w kilku godzinach złożono dwieścietysięcy *pesos*, które złączone z sumami zebranemi w dwóch prowincyach, dają razem milion i dwieścietysięcy *pesos*: a ja spodziewam się nawet, iż po ukończeniu kwesty w mieście suma ta dojdzie do dwóch milionów *pesos*. Po uroczystości św. Alojzego, t. j. w ostatnim tygodniu czerwca, podejmę na nowo moje wycieczki. Przewiduję, że zatrzymam się w Bogotá aż do końca roku, chyba że wpierw udam się do Popayan (Cauca) lub do Santander, gdzie tamtejsze władze dopominają się usilnie, abym śpiesznie przyjechał.

Co do zdrowia, mam się zawsze dobrze. Przebywam ciągle u tutejszych OO. Jezuitów, którzy wczoraj po obiedzie uczcili Maryę Wspomożycielkę piękną zabawą deklamacyjno-muzyczną. Nie wiem doprawdy, jak im się będę mógł odwzajemnić za ich szlachetność.

Niechaj ukochany Ojciec mi pobłogosławi i uważa mnie zawsze za Swego

wdzięcznego syna w Chrystusie Panu

X. Ewazy Rabagliati.

PATAGONIA (Terrytoryum Neuquen).

Wizyta kanoniczna i misye J. Ekscellencyi X. biskupa Jana Cagliero.

(Ciąg dalszy).

Dla bratanka była nadto dotkliwą ta strata, dlatego krótko potem przeniósł swój obóz do *Chimpay*, gdzie prowadził żywot łagodny i spokojny. W ostatnim czasie rząd odstąpił mu ośm mil gruntu w równinie rzeki *Aluminé*. Grunt ten *Namunkurá* rozdzielił między swoich współplemieńców, którzy uprawiają go z dobrym wynikiem.

W tych dniach, równie jak i w wielkie uroczystości, przywdziewał on mundur wojskowy, który rząd podarował mu wraz z stopniem pułkownika. X. biskupa Cagliero poznał swego czasu w Buenos Ayres i widywał go później w Bahia Blanca i w Viedma (1), stąd nie posiadał się z radości, iż mógł go ugościć w swej posiadłości nad rzeką *Aluminé*.

Przyjazd X. biskupa był przyczyną radości i wesela dla wszystkich Indyan wogóle, którzy też z chęcią przychodzili słuchać głosu swego pasterza. Miło było widzieć, jak bardzo pragnęli nauczyć się prawd naszej wiary św., otrzymać chrzest i spełnić to, co nakazuje prawo kościelne i cywilne względem zawierania związków małżeńskich.

Zeszło się również niemało rodzin mieszkających wzdłuż brzegów rzeki *Aluminé*, które swem zachowaniem pobożnem przymnożyły ozdoby świętym obrzędom, dając jednocześnie budujący przykład wiary nieoświeconym, lecz mimo to poczciwym Indyanom tego szczepu. Opatrzność Boża błogosławiła naszej pracy i żniwo było tak obfite, iż często mieliśmy na ustach zdanie z Ewangelii: *Messis quidem multa, operarii autem pauci*. Żniwo naprawdę wielkie, lecz pracowników niestety mało.

---

(1) Zefiryn, najmłodszy syn kacyka, znajduje się obecnie w naszym nowicyacie w Patagones. Jestto młodzieniec bardzo cnotliwy i równie pojętny. Spodziewamy się, iż później zostanie kapłanem i królem całego szczepu *Namuncurá*.

Dzień 24. marca zeszedł prawie cały na uroczystem udzielaniu chrztu św. nietylko niemowlętom i dzieciom, lecz także dorosłym i starcom, z których niektórzy liczyli więcej niż siedmdziesiąt lat życia. W ten sposób wigilia Zwiastowania Najśw. Maryi Panny była tem dla Indyan z nad brzegów *Aluminé*, czem Wielka Sobota dla neofitów w pierwszych początkach Kościoła. Prócz tego uprawniono i pobłogosławiono wszystkie małżeństwa zapomocą ślubu kościelnego. Jeszcze inną łaskę raczył Pan uczynić tym biedakom, to jest, pozwolił im również przyjąć Sakrament św. bierzmowania i tym sposobem stać się doskonałymi chrześcijanami. — Atoli oczekiwał nas dzień o wiele piękniejszy, w którym łaskawy Bóg chciał wynagrodzić nasze prace, dzień, który miał pozostawić w naszych duszach niezatarte wspomnienie. Był to właśnie dzień 25go marca, w którym Kościół św. zaprasza swych wiernych do wyśpiewywania pochwał Tej, która mogła powiedzieć o sobie: I błogosławioną mię nazwią wszystkie narody.

Poranek był śliczny. Stary kacyk, otoczony swą rodziną, Indyanami i licznymi chrześcijanami, udał się procesyonalnie do chaty przekształconej na kaplicę, gdzie X. biskup przywdziawszy święte, choć nędzne szaty kościelne, zaczął odprawiać Mszę św. z asystą dwu kapłanów. Dla szczupłości miejsca, Indyanie musieli pomieścić się jak mogli i jedni klęcząc a inni stojąc, powtarzali za misyonarzem tajemnice wiary i modlitwy przygotowawcze do aktu najwznioślejszego w życiu, jakim jest właśnie akt pierwszej Komunii św. *Namuncurá*, ów zuchwały i groźny kacyk, słuchał Mszy św. z wielką uwagą i nabożeństwem. Chłopcy i dziewczęta, ojcowie i matki, młodzi i starzy otaczali go wieńcem wkoło, i równie jak on przyjęli po raz pierwszy w życiu *Chleb żywota wiecznego*. Po nabożeństwie odezwał się X. biskup do obecnych w bardzo czułych słowach, napominając ich, by byli wytrwałymi w prowadzeniu życia chrześcijańskiego, ćwiczeniu się w cnocie i zaniechaniu obyczajów dzikich i pogańskich; by nigdy nie opuszczali modlitw porannych i wieczornych; by pamiętali zawsze, iż Bóg wszędzie nas widzi; by unikali grzechu, jako jedynego zła, które upadla naszą duszę; by mieli zawsze odrazę do poligamii, do *kamaruko* (balu indyjskiego, po którym zwykle następuje pijatyka i bachanalie) i do innych zabobonów, ponieważ tylko samego Boga należy czcić i kochać jako Stworzyciela i Pana nieba i ziemi. Zakończył swą przemowę udzieleniem z serca tej nowej osadzie chrześcijańskiej pasterskiego błogosławieństwa.

Następnie *Namunkurá* zaprowadził X. biskupa blizko ogniska wspólnej kuchni na śniadanie, które polegało na szklance herbaty z ciasteczkami, upieczonemi poprzedniego dnia przez starszą córkę kacyka. Stary król Pampy siedząc na starej skrzyni otoczony swymi *kapitanejos*, lewą ręką ściskał małą dynię z *mate*, a trzymając prawą w dłoniach X. biskupa, nie wiedział jak wyrazić radość, która nim owładnęła; całując zatem raz po raz pierścień biskupi, powtarzał: *Yo, señor, viejo y morir; morir mi gente tambien. Yo no tener campo santo. Pido favor benedición cementerio; yo no quiere mi sepultar cementerio. Pido favor, señor obispo, pido favor.* To jest: Ja, księże, stary i umrzeć; umrzeć także mój szczep. Ja nie trzymać cmentarza. Proszę poświęcić cmentarz; ja żądam pochować mnie na cmentarzu. Proszę o łaskę, księże biskupie, proszę o łaskę.

Jak można było oprzeć się tak słusznemu żądaniu? X. biskup przeto przystał chętnie i upoważnił X. Milanesio oraz jednego z synów kacyka, by u stóp pagórka kazali zaraz wystawić wielki krzyż na pamiątkę odbytej misyi i na znak, iż tam odtąd będą chowali tych, co zasnęli snem wiecznym. Ponieważ *Namunkurá* postanowił przenieść swoje koczowisko z nad brzegów *Aluminé* w inne miejsce, mniej wystawione na podmuchy wiatrów i lepiej zabezpieczone od ciągłych wylewów, przyrzekł, że każe tam wystawić kaplicę i szkołę, przeznaczoną na kształcenie i chrześcijańskie wychowanie tak swojej rodziny, jako też całego szczepu.

Pożegnawszy się następnie z poczciwym kacykiem i wszystkimi tubylcami (księdzu biskupowi bowiem śpieszno było wracać jak najprędzej do Junin, dla odprawienia tam funkcyi Wielkiego Tygodnia), udaliśmy się na brzeg rzeki, gdzie czterech barczystych Indyan wsiadłszy z nami do łodzi, przewiozło nas w kwa-

dransie na drugą stronę. Tutaj czekał już na nas żołnierz z okulbaczonymi wierzchowcami.

Po niedługiem cwałowaniu dotarliśmy do chaty naszego przewoźnika Ambrożego, który z wielką uprzejmością uraczył nas jak mógł najlepiej. Następnie towarzyszył nam osobiście i między skałami i urwiskami wskazał przejścia dotąd wcale nam nieznane, jadąc przez które, skróciliśmy o wiele drogę i w krótkim stosunkowo czasie znaleźliśmy się wpośród naszych współbraci i chłopców w *Junin de los Andes*.

Gdy się rozeszła pogłoska o przybyciu X. biskupa, ludność na odgłos dzwonów przybyła tłumnie do parafialnego kościoła, gdzie Jego Ekscellencya dał początek nowej misyi.

X. Beraldi.

PRZEZ EKWATOR.

Wrażenia z podróży.

(Ciąg dalszy).(*)

Pomyłka.

Słońce kryło się za najdalszymi szczytami gór na zachodzie i jego promienie gasnąc powoli w cieniu cichej doliny, wydawały się odbierać sercom wszelką tkwiącą w nich nadzieję.

W Kañar wszyscy przypatrywali mi się z ciekawością pomieszaną z niedowierzaniem. Kobiety wychodziły na próg domu i następnie cofały się zaraz jakby przerażone. Mężczyźni natomiast okazywali pewien rodzaj gniewu. Tu i ówdzie szeptano sobie do ucha ; na narożnikach ulic tworzyły się gromady gapiów, którzy towarzyszyli mi wzrokiem dla przekonania się, gdziebym to też wstąpił.

— Do X. proboszcza, do X. proboszcza, krzyknąłem na kilku wyrostków.

Widząc mnie tak rezolutnego, wskazali mi schody znajdujące się tuż obok kościoła, przed któremi wznosiła się brama.

Zeskoczyłem więc z konia, wstąpiłem do góry i wszedłem da pierwszej stancyi, którą zastałem otwartą.

X. proboszcz wychylał właśnie ostatni łyk kawy. Gdy mnie zobaczył, powstał nie bez zadziwienia i postąpił kilka kroków naprzód powitać mnie, zachowując się mimo to w sposób nieco niepewny, co ustąpiło zupełnej szczerości i uprzejmości skoro przekonał się, iż byłem księdzem.

— A więc księże proboszczu, nie przybył to jeszcze X. biskup Costamagna?

— X. biskup Costamagna?! Nie miesza go może jegomość z X. Albera?

— Bynajmniej. Ale proszę o pośpiech! X. biskup nadjedzie za chwilę. Pozostawiłem go nieco w tyle.

— A dlaczego to nie uwiadomiono nas o tem?... No, lecz mniejsza z tem! — Teraz okulbaczyć mi konia i przygotować drugą wieczerzę. Proszę podać mi kapelusz. X. sekretarz niech weźmie ten drugi słomiany. Niech zrzuci tę czapkę angielską, bo wygląda w niej jak jaki pastor. Jest to istny cud, że Xiędza nie obrzucono kamieniami!

— Teraz rozumiem. Może takiego zamiaru nawet i nie brakło.

Owszem, może ksiądz o tem być mocno przekonanym, ponieważ w tych właśnie dniach oczekują tu przybycia kilku *ewangielików*, których nam przysyłają w podarunku ojcowie wolności. Ludność jest z tego powodu zirytowaną i przygotowuje im cukierki uliczne.

— Czy to prawda? Zatem ja jestem przyjacielem tych ludzi! No, to mi się dopiero udało.

Za ten czas wsiedliśmy na konie i przejechaliśmy przez miasto wśród licznej ludności, która uśmiechając się, przyglądała się szczególnie mnie jadącemu obok X. proboszcza w nowym kapeluszu na głowie.

— Hola, słuchajcie, mówiłem temu i owemu : wierzcie mi, że nie jestem bynajmniej żadnym wilkiem. Owszem, sprowadzam wam pasterza, za kilka minut bowiem przybędzie X. biskup, który chce wam wyświadczyć wiele dobrego.

I słowo *X. biskup* przechodziło z ust, do ust, od jednego domu do drugiego, z jednej ulicy na drugą. Ze wszystkich drzwi wyglądali mężczyźni i niewiasty; na wszystkich

(*) Zob. n. 11. z. r.

zakrętach ulic gromadzili się ludzie, a dzieci leciały na wyścigi naprzeciwko niespodziane przybywającego pasterza.

Pamiętajmy o nim.

— Przepraszam, twarz księdza proboszcza nie wydaje mi się całkiem nową. Czyśmy się czasem już gdzie nie widzieli...? — Tak jest! Poznaliśmy się w Callao, przed pięciu miesiącami, na pokładzie statku, który wiózł z wygnania księdza proboszcza i kanonika Campuzáno. Tam żeśmy się powitali. Ktoby był pomyślał, iż tak prędko...? Czy Jegomość nie jest przypadkowo Ojcem Ordoñez, Zgromadzenia Oblatów z Cuenca?

— Jestem nim osobiście.

— A gdzie jest X. Campuzáno, owa szlachetna ofiara wściekłości masońskiej, który pierwszy poszedł na wygnanie, a ostatni wrócił do ojczyzny? co się z nim stało? Znalazł między swoimi pokój, zostawszy wprzódy ograbionym, prześladowanym i oszkalowanym?

— Tak, znalazł pokój, — odrzekł X. proboszcz, spojrzawszy w niebo i spuściwszy zaraz głowę:

— Znalazł pokój.

— Jakto? Czy może umarł?

— Właśnie, zmarł w kilka dni po swem przybyciu do pięknego Quito.

— Niechaj go Bóg przyjmie do Siebie. Biedaczysko! Zdaje się, iż przeczuwał swój los; na pokładzie statku bowiem temu, który mu życzył prędkiego otrzymania mitry, odrzekł: Nie, już nie czas po temu. Idę oddać moje styrane kości drogiej ojczyźnie. — Pamiętajmy o nim i módlmy się za niego.

— Jestto właśnie pora, która najbardziej przywodzi nam na myśl umarłych, a jego w szczególności. Był on jeszcze młody, pełen sił i nadziei. Pewnego wieczoru, w Quito, przy ostatnich odblaskach zorzy wieczornej, która z za poblizkiej góry Pichincha pokrywała cieniem to historyczne miasto, rozstawał się z trzema swymi najdroższymi przyjaciółmi: « Żegnam was, mówił im. Przyjdzie wieczór, który nie zazna świtu. Co się stanie z nami za lat kilka? Przyjaciele, zróbmy ten układ: gdy widzimy zachodzące słońce, przypomnijmy sobie nieobecnego przyjaciela: wspomnijmy o umarłych. »

Tu zamilkł X. proboszcz, poczem dodał: « Tak, pamiętajmy o nim. *Lux perpetua luceat ei.* Światłość wiekuista niechaj mu świeci. »



Lorena (Brazylia). — Wychowankowie Kollegium św. Joachima.

— Dobrze księże proboszczu, lecz nie zapominajmy przytem o żywych. Zostaje nam zaledwie jeszcze tylko trochę światła, a X. biskupa ani widnąć. Może zmylili drogę..... A jednak... Widzi tam ksiądz te dwa cienie? Tak: to są oni. Biedny X. biskup! Jest wyniszczony podróżą i głodem. Także jego koń już się ledwo wlecze.

— Witam Jego Ekscellencyę; *Benedictus qui venit*, krzyknął X. proboszcz i zeskoczywszy z konia, poszedł ucałować pierścień biskupi.

— Niechaj Ekscellencya wsiądzie na mego wierzchowca i zbierze resztki sił, dodał następnie. Brakuje jeszcze tylko kilka kroków..... Lecz dlaczego przybywa tak niespodzianie? Gdybyśmy byli wiedzieli o tem przynajmniej dzień przedtem, dla przyjęcia Go jak na to zasługuje!... A tak... *qua hora non putatis*... Koniec końcem nie będzie mógł się żalić, jeśli nie zastanie wszystkiego na swojem miejscu.

Ulice i place przepełnione były ludem wzruszonym, klęczącym, który starał się rozeznać X. biskupa w półcieniu i prosił o błogosławieństwo. Wszędzie słychać było te słowa: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Najświętsza Panna. Niechaj będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament.* I głosy te następowały po sobie bez przerwy, jak echo powtarzające po sto razy tę samą myśl. Dzwony dzwoniły na *Anioł Pański.* Po ostatnim promyku zorzy wieczornej nastąpiła czarna noc.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rocznica koronacyi i uroczystość M. B. Wspomożycielki.

Z świętem uniesieniem i niewysłowioną radością witamy jutrzenkę miesiąca naszej ukoronowanej Królowej, Maryi Wspomożycielki. Dnia 17. b. m. upływa właśnie pierwsza rocznica uroczystej koronacyi papieskiej Jej cudownego obrazu. Pomimo rozlicznych naszych zajęć, powinniśmy się starać spędzić ten dzień możebnie najuroczyściej i spełnić na cześć Matki Najświętszej jaką szczególną praktykę pobożną, zupełnie odmienną od tych, jakiemi czcimy Ją we wszystkie dni tego pięknego miesiąca. To samo należałoby uczynić w samą *uroczystość Najśw. Panny Maryi Wspomożycielki*, chociaż w tym roku przypada ona we wtorek.

Miesiąc N. P. Maryi Wspomożenia Wiernych rozpoczął się tu w Turynie, w świątyni Jej czci poświęconej, w sobotę 23. z. m. ze zwykłą okazałością. Napływ wiernych był — jak zwykle w takich okazyach — ogromny. Porządek, według którego w tejże świątyni odprawiają się obecnie codzienne nabożeństwa, jest następujący:

W dni powszednie po Mszy św. — która zaczyna się o 5 1/2 rano — i wieczorem o 7 1/4 po prześpiewaniu pieśni ma miejsce krótkie kazanie i błogosławieństwo Przenajświętszym Sakramentem. Natomiast we święta kazania te bywają wygłaszane po nieszporach o 2 1/2 i 4 1/2 popołudniu. Co niedzielę zaś o godzinie 10^tej^ rano odprawia się Msza św. śpiewana, wykonywana kolejno przez chóry śpiewackie różnych turyńskich zakładów salezyańskich. Uczestnicząc pobożnie w wspomnianych nabożeństwach porannych, można dostąpić za dozwoleniem papieskiem odpustu trzech lat, a przyjmując Komunię św., odpustu zupełnego, mogącego być ofiarowanym tylko za dusze zmarłych.

Nasi polscy Pomocnicy, którym dla odległości i różnicy języka jest poprostu niemożliwem brać udziału w tych objawach głębokiej pobożności chrześcijańskiej, niechaj nie omieszkają przyłączyć się do nich duchowo; w ten sposób obficiej spłyną na nich i na cały świat łaski i błogosławieństwa naszej potężnej Wspomożycielki.

Przy tej sposobności przypominamy naszym zacnym Pomocnikom i gorliwym Pomocnicom zwłaszcza z Galicyi i Górnego Śląska, jako najbliższym Oświęcimia, iż XX. Salezyanie oświęcimscy będą obchodzili uroczystość M. B. Wspomożycielki w ostatnią niedzielę maja. Wówczas zatem mogą się tam zjechać jak najliczniej i złożyć Matce Najświętszej dowody Swej dla Niej miłości i wdzięczności. Prosimy Ich o to jak najusilniej!

Wiadomości potoczne.

Europa.

TURYN. — **Najprzew. X. Michał Rua** — Następca X. Bosko, głęboko wzruszony dziękuje ponownie wszystkim tym gorliwym Pomocnikom i szczodrym Pomocnicom, którzy w odpowiedzi na Jego okólnik z dnia 6go stycznia b. r. nadesłali ofiary, na jakie ich stać było. Przy tej sposobności zapewnia, iż z wdzięczności za okazane Mu miłosierdzie codziennie będzie zanosił osobiście i przez swych wychowanków gorące modły do Najsł. Serca Jezusowego i Najśw. Wspomożycielki Wiernych na Ich intencyę.

— **Uroczystość św. Franciszka Salezego** wypadła nadzwyczaj wspaniale. Na sumie i nieszporach pontyfikował w świątyni Maryi Wspomożycielki najprzew. X. Karol Wawrzyniec Pampirio, arcybiskup wercellijski, a kazanie miał wiel. ks. teol. Gallea, wykazując w św. Franciszku wzór niestrudzonego apostoła, gorliwego biskupa, katolickiego publicysty i podając inne powody, dla których X. Bosko obrał Go za patrona swego pobożnego Zgromadzenia. Zdawało się, że Najśw. Panna Marya Wspomożycielka, która w owych dniach czci oddawanej łagodnemu św. Franciszkowi Salezemu (mamy tu na myśli nowennę, która poprzedziła to święto), widziała gromady wiernych przystępujących do św. Sakramentów, uśmiechała się z upodobaniem iście macierzyńskiem.

— Nazajutrz, **30go stycznia**, odprawiła się Msza żałobna śpiewana za spokój dusz naszych zmarłych dobrodziei i Pomocników, i w tym celu ofiarowano również wszystkie modlitwy, odmówione w owym dniu w świątyni.

— Dnia **pierwszego lutego** o godzinie 10. miała miejsce Msza św. żałobna z okazyi szesnastej rocznicy zgonu ś. p. X. Jana Bosko, fundatora kościoła Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych i Zgromadzenia salezyańskiego. Celebrował Najprzew. X. Michał Rua, Następca X. Bosko, a asystował pontyfikalnie Jego Ekscellencya Najprzew. X. Jan Bertagna, tytularny arcybiskup Klaudyopola. Zeszło się przytem pore Pomocników, wielu z których po skończonem nabożeństwie złożyło w ręce X. Rua datek ich serca miłosiernego.

GUERSENEY (Wyspy Normandzkie). — Na tych wyspach, nazwanych również *wyspami kanałowemi*, które chociaż geograficznie należą do Francyi, mimo to politycznie są w posiadaniu Anglii, zdołali się osiedlić nieszczęśliwi Salezyanie wygnani z Dinan we Francyi. Najprzew. X. biskup z Portsmouth w Anglii, pod którego jurysdykcyą znajduje się Guerseney, raczył odwiedzić owych naszych współbraci, z których dwóch, będąc dyakonami, zostało z tej okazyi wyświęconych na kapłanów. Była to łaska szczególna, za którą Jego Ekscellencyi pozostaniemy zawsze wdzięczni. Także miejscowy X. dziekan, będący przedstawicielem X. biskupa dla Guerseney i Jersey, jest gorącym wielbicielem dzieł salezyańskich. Ludność jest poczciwa; niedziela bywa święcona przez wszystkich; nasza kaplica nie może pomieścić wszystkich tych, którzyby chcieli do niej uczęszczać, a wśród nich jest wielu protestantów. Z tego można wnioskować, że tamtejsi synowie X. Bosko skoro będą mogli zająć się także młodzieżą miejscową, otworzywszy dla niej kaplice świąteczne, odwdzięczą się przez to choć w części zacnym wyspiarzom za gościnne i serdeczne przyjęcie, jakiego od nich doznali.

KONSTANTYNOPOL (Turcya). — Piszą nam: — Dziewiątego października z. r. przybyliśmy do Konstantynopola, przyjęci nader serdecznie przez Jego Ekscellencyę najprzewielebniejszego X. Bonelli'ego, tytularnego arcybiskupa Palmiry, wikaryusza apostolskiego i delegata Stolicy Świętej w Konstantynopolu i zamieszkaliśmy prowizorycznie u OO. Dominikanów. Zaczęliśmy zaraz szukać sobie miejsca, w którem moglibyśmy na stałe zamieszkać, i także tutaj ręka Maryi Wspomożycielki okazała się nad nami widoczną. Niedaleko katedry znaleźliśmy na ulicy Pancaldi trzypiętrowy dom o jedynastu stancyach i z przyległym dziedzińcem, taki właśnie, jaki w sam raz nadawał się do rozpoczęcia naszego dzieła. Poradziwszy się X. delegata, zawarliśmy kontrakt dzierżawy za 1700 franków rocznie, które wypłaciliśmy naprzód, gdyż sam X. arcybiskup raczył nam ich łaskawie pożyczyć. Następnie zaopatrzywszy się w trochę sprzętów, podziękowaliśmy zacnym OO. Dominikanom za gościnę i 3go listopada weszliśmy do naszego mieszkania. Postawiliśmy na swoje miejsce dwa stoliki, cztery łóżka, kilka krzeseł i garnków i dom został w ten sposób dostatecznie przyozdobiony. Nieco później sprowadziliśmy kilka stołów, kilkanaście ław i ołtarz, i tem samem także szkoły i kaplica zostały należycie uporządkowane. Cztery stancye, przeznaczone na szkoły, będą mogły

pomieścić z jakie pięćdziesiąt chłopców, nie więcej: atoli jako na początek, są więcej niż wystarczające. Owszem, możemy dziękować Bogu, iż opiekuje się nami, tak widocznie i daje nam właśnie tyle, ile potrzeba tego wymaga.

ANGRA DO HEROISMO (Wyspy Azorskie). — **Powstanie nowego dzieła salezyańskiego.** — Od naszych współbraci, posłanych na archipelag Azorski w celu otworzenia tam nowego zakładu salezyańskiego, otrzymaliśmy następujący list: — Dnia 20go listopada wyjechaliśmy z Lizbony. Zatrzymawszy się następnie kilka godzin na wyspie Maderze, gdzie mieliśmy szczęście złożyć nasze uszanowanie dzielnemu biskupowi dyecezyalnemu X. Emanuelowi Augustynowi Barreto, naszemu wielbicielowi i gorliwemu pomocnikowi, puściliśmy się w dalszą podróż w kierunku wysp Azorskich. Prędko znikła nam z oczu olbrzymia góra *Pico Ruivo*, wysoka przeszło dwatysiące metrów, i po niespełna dwóch dniach żeglugi przybyliśmy do wyspy św. Michała, najbogatszej i najludniejszej z pomiędzy dziewięciu wysp archipelagu. Wylądowawszy w Ponta-Delgada, stolicy okręgu administracyjnego grupy wschodniej, także tutaj mieliśmy szczęście ucałować pierścień naszemu biskupowi dyecezyalnemu X. Józefowi Emanuelowi de Carvalho, odbywającemu właśnie wizytę pasterską i zatrzymaliśmy się w gościnie u przew. OO. od Świętego Ducha. Poczem po jednej nocy podróży parowiec nasz zarzucił kotwicę w zatoce Angra do Heroismo. Zgotowano nam przyjęcie przewyższające nasze zasługi. Na pokład statku przyszło nas powitać kilku członków komisyi administracyjnej orfanotrofium błogosławionego Jana Chrzciciela Machado, które mieliśmy objąć w zarząd, oraz wielu innych naszych przyjaciół i pomocników. U wejścia do schroniska oczekiwało nas trzynastu wychowanków już przyjętych, którzy przyjęli nas oznakami wielkiej radości. Dom jest szczupły i mało nadający się na kollegium, Opatrzność Boska przeto musi wziąć na siebie zadanie rozszerzenia go na korzyść licznych chłopiąt, oczekujących jedynie chwili, w której będą mogli doń się dostać. Dzieła Boże zawsze biorą swój początek od rzeczy małych i dopiero po wielkich wysiłkach dochodzą do rozkwitu wprost zachwycającego. My zatem dufamy, iż także tu powtórzą się cuda, jakie można oglądać w tylu innych miastach, w których zamieszkali synowie X. Bosko. Angra jestto miasteczko o ulicach szerokich i czystych, a pałacach pięknych i artystycznych. Jest siedzibą biskupa, sufragana dyecezyi lizbońskiej, oraz stolicą grupy centralnej wysp Azorskich i okręgu administracyjnego. Na drugi dzień po naszem przybyciu złożyliśmy wizytę władzom duchownym i cywilnym i tym aktem objęliśmy urzędownie zarząd schroniska, dla którego prosimy Maryi Wspomożycielki o błogosławieństwo.

Ameryka.

LORENA (Brazylia). — **Wizyta nuncyusza Apostolskiego.** — W pierwszej połowie zeszłego października Jego Ekscellencya najprzew. X. Juliusz Tonti, nuncyusz Apostolski w Brazylii, w towarzystwie swego sekretarza i X. dyrektora salezyańskiego kollegium w Nictheroy raczył zaszczycić swą pożądaną wizytą nasze domy w Lorenie.

Zwiedził szczegółowo nasz kwitnący zakład św. Joachima, którego grupę wychowanków przedstawiamy na jednej z rycin, kaplicę świąteczną i eksternat Maryi Wspomożycielki, kierowany przez nasze Siostry. Jego Ekscellencya sprawdził z żywą przyjemnością wielkie dobro, jakie dzieło salezyańskie czyni w owem mieście i dla wszystkich miał słowa zachęty i pochwały.

Z Loreny, żegnany na stacyi centralnej przez przełożonych i wychowanków kollegium św. Joachima, jako też przez przedstawicieli kaplicy świątecznej, eksternatu i wielką gromadę ludu, wyjechał wraz z X. inspektorem Karolem Peretto i przew. X. Zanchetta do *Guaratingueta* gdzie raczył zwiedzić *kollegium M. B. Szkaplerznej*, kierowane przez Siostry Maryi Wspomożycielki. Wychowanice owego zakładu uczciły godnego przedstawiciela Ojca św. nader udatną zabawą deklamacyjno-muzykalną, po skończeniu której najprzew. nuncyusz miał przyjemność przemówić do nich w języku włoskim i być przez nie zrozumianym. Wzbogacił odpustami kapliczkę M. B. Wspomożycielki, wznoszącą się na dziedzińcu zakładu i wyjechał żegnany oklaskami, pozostawiając miłą pamięć po sobie.

SANTIAGO (Chili). — **W naszem kollegium „Opieki św. Józefa."** — W trzecią niedzielę października z. r. 250ciu wychowanków zakładu Opieki św. Józefa dało publiczny popis gimnastyczny, wykonawszy pod komendą ich nauczyciela p. porucznika Garcia Huidobro liczne i nader rozmaite ćwiczenia gimniczne, które zjednały im prawdziwą burzę oklasków.

Podając do wiadomości to zdarzenie, zapewniamy naszych czytelników, że w szkołach X. Bosko jak z jednej strony nie zaniedbuje się niczego, coby mogło wyjść na korzyść cnoty, tak z drugiej szuka się i używa wszelkich środków, służących do wzmocnienia i uzupełnienia rozrostu fizycznego wychowanków.

PONTE-NOVA (Brazylia). — **W szkole normalnej,** na mocy dekretu rządowego używającej tych samych praw, co szkoły państwowe i kierowanej przez Siostry N. P. Maryi Wspomożycielki, bardzo uroczyście wypadło zakończenie roku szkolnego. Przew. X. inspektor Karol Peretto wręczył dyplom nauczycielski dziesięciu uczennicom, które opuszczały kollegium, aby zanieść między lud i do swych rodzin razem z gruntownem wykształceniem, miłość i praktykę religii.



ŁASKI
Najśw. Maryi Panny Wsp. Wiernych



Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan.

PIUS X.

Cudowne ocalenie.

Poczuwam się do obowiązku złożenia Najśw. Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, publicznego podziękowania za szczególną łaskę, otrzymaną zeszłego roku.

W końcu sierpnia wyjechaliśmy z próżną łodzią na Wisłę dla połowu ryb. Chociaż powietrze było od samego rana cudnie piękne, mimo to gdyśmy się oddalili dość znacznie od brzegu, zachmurzyło się naraz niebo i zaczął dąć wicher tak szalony, iż zanim żeśmy się spostrzegli, urwał nam kotwicę, łańcuchy i sieci i jął naszą łodzią rzucać na wszystkie strony, jak łupiną od orzecha. Próbowaliśmy oprzeć się rozszalałym bałwanom i powrócić czemprędzej na ląd, lecz wszelkie usiłowania w tym względzie spełzły na niczem. W owej krytycznej chwili westchnęłam do M. B. Wspomożycielki i uczyniłam postanowienie, że jeżeli Matka Najśw. nas ocali i pozwoli prócz tego odnaleźć zagubione przedmioty, dla nas biedaków mające wartość nieocenioną, podam to na Jej cześć i chwałę do publicznej wiadomości. Z wdzięcznością wyznaję, iż najsłodsza Opiekunka żeglarzy raczyła się do mego błagania łaskawie przychylić. Gdy bowiem następnie poczęli rybacy z całych sił wiosłami pracować, udało im się wreszcie skierować łódź szczęśliwie do brzegu i ocalić tym sposobem wszystkich w niej się znajdujących. Na trzeci dzień zdołaliśmy również po długiem i uciążliwem szukaniu wyłowić przedmioty, zgubione w ciągu burzy.

Wdzięczna Pannie Najśw. za tę podwójną łaskę, posyłam skromny datek na Mszę św. dziękczynną i proszę o umieszczenie niniejszego listu w *Wiadomościach Salezyańskich*.

Gdańsk (Prusy Zachodnie), 10 go lutego 1904.

AGNIESZKA KALKOWSKA.

*
* *

N. P. Marya wysłuchuje modlących się z wytrwałością.

Wywięzuję się z danego przyrzeczenia i publicznie dziękuję Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa i Matce Boskiej Wspomożeniu Wiernych za nader wielką łaskę otrzymaną. — Przez kilka lat prosiłam o nią usilnie, zamawiając w tym celu Msze święte, odprawiając nowenny i każąc je odprawiać wychowankom XX. Salezyanów, aż wreszcie zostałam wysłuchaną. Wyznaję otwarcie, iż Marya przychyliła się do mych próśb właśnie wtenczas, gdym się tego najmniej spodziewała. Przy tej sposobności zachęcam też wszystkich nieszczęśliwych i opuszczonych, aby swych potrzebach duchownych i doczesnych z wytrwałością i szczerą wiarą udawali się do tej jedynej naszej Dobrodziejki i Pocieszycielki. Załączam przytem 4 marki na odprawienie Mszy św. przed cudownym obrazem ukoronowanej Wspomożycielki Wiernych, w celu uproszenia dalszego powodzenia dla mnie, jako też dla mego męża i dzieci.

Buk (Wielkie Księstwo Poznańskie), 10. 2. 1904.

B. M.

*
* *

Stolico Mądrości, módl się za nami.

Z sercem pełnem wdzięczności klękam u stóp Maryi Wspomożenia Wiernych i składam Jej najgo

korniejsze dzięki za łaskę niemal cudowną, jaką mnie marnej i grzesznej okazała. Brat mój miał otrzymać z tego półrocza złe świadectwo. Jeden z profesorów zapowiedział mu krótko przed rozdaniem świadectw, że otrzyma od niego stopień niepomyślny. Ponieważ ów pan zawsze dotrzymuje tego, co powie i nigdy nie zwykł cofać swego słowa, nie było żadnej wątpliwości, iż brat mój przepadnie. Z drugiej strony czas był za krótki, ażeby mu możliwem było wyćwiczyć się lepiej w trudniejszych przedmiotach, a to tem bardziej, że nowe półrocze miało się zacząć już za kilka dni. Wówczas całą sprawę oddałam Najśw. Wspomożycielce Wiernych, błagając Ją za przyczyną księdza Bosko o zmiłowanie. Moje niegodne modlitwy zostały wysłuchane, brat bowiem dziwnym zbiegiem okoliczności otrzymał stopnie dostateczne. Spełniając przyrzeczenie, jakie Boskiej Dziewicy wtenczas uczyniłam, ogłaszam tę wielką łaskę w ,,Wiadomościach Salezyańskich.''

Tomaszowice (Galicya), 4. lutego 1904.

EUGENIA DOBRZAŃSKA.

***

Pomoc w potrzebie.

Przez dłuższy czas nie mogąc dostać posady, a w dodatku prześladowany rozmaitymi wypadkami, zwróciłem się do Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, z prośbą o pomoc, odprawiając na tę intencyę nowennę. Żona zaś moja przyrzekła, że w razie wysłuchania ogłosilibyśmy otrzymaną łaskę we Wiadmościach Salezyańskich. Otóż w naszej ufności nie zawiedliśmy się, litościwa Panienka bowiem przychyliła się do naszych modłów. Posadę dostałem, co prawda tylko tymczasowo, lecz nie tracę nadziei, iż łaska stanie się następnie zupełną. — Niech Ci za to będzie cześć i chwała, najmiłościwsza Matko i Wspomożycielko opuszczonych i pomocy potrzebujących!

W załączeniu przesyłamy cztery korony i przeznaczamy z nich dwie na odprawienie Mszy św. dziękczynnej, a drugie dwie na cele Zgromadzenia salezyańskiego.

Okno (Galicya), 28 go stycznia 1904.

JAN I ANIELA KOSIŃSCY.



Kapela trędowatych w Agua de Dios.

***

Marya Wspomożycielka uzdrowieniem chorych.

Zeszłego miesiąca zachorował ciężko nasz wuj i musiał się poddać operacyi. Nie usypiając go wcale, otworzyli mu lekarze żołądek i wycięli zeń jakąś narośl, czy coś podobnego. Choroba była tak trudną do wyleczenia, iż doktorzy operujący orzekli zgodnie, że pacyent jeszcze tylko kilka dni pożyje. Zląkłszy się tej zapowiedzi, poleciliśmy wuja Niebieskiej Lekarce chorych i Ona po niedługim czasie przywróciła mu zupełne zdrowie.

Niedawno zaś brat mój zachorował niebiezpiecznie i gdy w gorącej modlitwie poprosiłam Najśw. Panienki o ratunek, także jego wkrótce uzdrowiła.

Prócz tego znajoma mi kobieta — która przez cały rok żyła tylko mlekiem, a wreszcie nie mogąc i tego pokarmu przyjmować, przez tydzień żyła tylko wodą — po przesłaniu do Oświęcimia ofiary na Mszę św. natychmiast przyszła do zdrowia.

Za te przeto i za wiele innych łask składam serdeczne podziękowanie najlitościwszej Wspomożycielce Wiernych i oddaję Jej przemożnej opiece siebie i wszystkich mi drogich.

Krasnostawce (Galicya), 7. 1. 1904

F. Prokopowiczówna.

***

W czasie choroby, gdy pomoc lekarska nie pomagała, poleciłem się Najśł. Sercu Jezusowemu i Najświętszej Pannie Maryi, Wspomożycielce Wiernych, przyrzekając złożyć publiczne podziękowanie po przyjściu do zdrowia. Od owego czasu słabość poczęła ustępować, a obecnie powstałem już z łóżka. Za tę więc łaskę dziękuję publicznie Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa i Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych.

Nowy Sącz (Galicya).

I. Kosman.

***

Znajdując się w wielkiem zmartwieniu, udałem się do Przewielebnych XX. Salezyanów w Oświęcimiu z prośbą o odprawienie przez ich wychowanków nowenny na intencyę wyzdrowienia mojej żony z kurczowej choroby, której już od kilku lat podlegała. W listopadzie n. p. tak gwałtownie ją ta choroba dwa razy napadła, że przez dłuższy czas leżała bez przytomności. To pobudziło mnie do tem usilniejszego nalegania o modlitwy. Jakoż na początku grudnia otrzymałem zawiadomienie, iż nowenna rozpocznie się dziesiątego tego miesiąca. Podług zaproszenia także ja przyłączyłem się do niej i dzięki Matce Boskiej, która naszych modłów raczyła wysłuchać, mojej żonie zaraz się polepszyło. Spodziewam się, że Marya Wspomożycielka dla uzupełnienia cudu na zawsze uwolni mą żonę od zwyż wspomnianej choroby.

Z wdzięczności więc za tę, jako też za wiele innych łask otrzymanych, posyłam 10 marek na odprawienie jednej Mszy św. dziękczynnej przed obrazem M. B. Wspomożenia Wiernych, a drugiej dla uproszenia u tejże Matki Najświętszej dalszej opieki dla żony, dla mnie i dla całej mojej rodziny.

Ku większej czci i chwale Matki Boskiej Wspomożycielki Wiernych, proszę umieścić to podziękowanie w *Wiadomościach Salezyańskich.*

Kopanina (Górny Śląsk), dnia 2 go stycznia 1904.

Jakób Musik.

***

Dziękują Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezyańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

Anna Hrabowska, *Mysłowice* (Górny Śląsk); Wawrzyn Spruta, *Stary Kobylin* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Jan Weiss, *Karb* (Górny Śląsk); A. Kłobus, *Kępno* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Stanisław Ciechocki, *Toruń* (Prusy Zachodnie); Wincenty Wrodarski, *Bytom* (Górny Śląsk); Ks. Dymitr Gabła, *Radoszyce* (Galicya); Jan Nazarewicz, *Sambor* (Galicya); Melania Chmielnik, *Turka* (Galicya); Mieczysław Skarżyński, *Gabarówka* (Galicya); A. Moskwiński, *Germakówka* (Galicya); W. Breitmeierowa, *Stryj* (Galicya); Janina Mazurowa, nauczycielka, *Odrzykoń* (Galicya); Julia Grabowska, *Bołszowce* (Galicya); St. Ślebodzińska, *Tarnów* (Galicya); B. Borkowska, *Kraków*; Józef Zemanek, *Nowy Sącz* (Galicya); Marya Jakubska, *Brzozów* (Galicya); Ludmiła Grychowska, *Tarnopol* (Galicya); Jan Błaszczok, *Podoborze-Cieszyn* (Śląsk Austryacki); Wincenty Henkel, *Koźle* (Górny Śląsk); Jan Pyka, *Ciasnowo* (Górny Śląsk); W. W., *Bytom* (Górny Śląsk); F. K. *Glinica* (Górny Śląsk); Antoni Ostojski, *Lubasz* (Wielkie Księstwo Poznańskie); M. Z., *Kraków*; Józef Bylca, *Targanice* (Galicya); Mateusz Krupka, *Warszowice* (Górny Śląsk); Ludwik i Aniela Moskalscy, Rabka (Galicya); St. Łożyński, Środa (W. X. Poznańskie); Anastazya Sałacka, *Mroczno* (Prusy Zachodnie); Jan Bieś, *Budapeszt* (Węgry); W. Ogrodowski, *Bacharcie* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Józefa Zielińska, *Bydgoszcz* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Jan Ściskał, *Pawłowice* (Górny Śląsk); Stanisław Burda, *Oświęcim* (Galicya).

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św., Urbana VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść niniejszego pisma wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*

Redakcya.



ODEZWA SODALICYI MARYAŃSKICH
w sprawie Kongresu.

... „Zrozumiejmy z dziejów minionej sławy naszego Narodu, iż Pan Bóg złączył losy nasze i zależnemi je uczynił od stopnia czci, jaką oddawać będziemy Najświętszej Pannie, Królowej Korony Polskiej" ...

... „Oto nadeszła sposobna chwila w uroczystości jubileuszowej Niepokalanego Poczęcia, do której z woli Stolicy Apostolskiej cały świat katolicki się gotuje" ...

... „Postanowiłem zwołać uroczyste zebranie do Lwowa na cześć Matki Bożej w miesiącu wrześniu roku 1904, przygotowanie zaś i ułożenie programu tego kongresu poruczyłem Sodalisom Maryańskim" ...

(Z listu Pasterskiego Ks. Arcybiskupa Józefa Bilczewskiego, „O czci Najświętszej Maryi Panny").

Posłuszni ojcowskiemu wezwaniu ukochanego Arcypasterza stanęliśmy zgodnie w imię Boga i Ojczyzny, do pracy dla czci Niepokalanej Matki Chrystusowej. Zarys kongresu wszechstronnie opracowany uzyskał zatwierdzenie i błogosławieństwo swego Najdostojniejszego Protektora, a lista poważnych wiedzą i znaczeniem w świecie naukowym referentów zwiększa się niemal z dniem każdym. Kongres bowiem przez Arcypasterza zwołany, to jakby „zejście Anioła na ziemię polską," aby przypomnieć tej ziemi, iż od lat tysiąca „Bogarodzicę Dziewicę, Bogiem wsławioną, Maryę" zwykła czcić, jako po „Bogu ojców naszych" najświętsze swoje palladyum narodowe.

Wszak cechą dziejową Polski było zawsze gruntowne, a gorące nabożeństwo do Najświętszej Maryi Panny, jak zaś polskiem się ono stało, jak wrosło w narodowy organizm niech zaświadczy choćby to jedno, iż zamiast uroczystej przysięgi starczyło powiedzieć: „jak jestem Sługą Maryi," aby zupełną sobie i słowu danemu pozyskać wiarę.

Nabożeństwo to okryło przez długie wieki serca polskie szkaplerzem, lub ryngrafem Bogarodzicy; ono to rękom polskim kazało codzień nizać święte perełki różańca; ono postem święciło wigilie świąt Maryi; ono wreszcie tłumaczy takie serca, które w obłędzie nawet zbrodni pozostając, po wyparciu się Boga i cnoty, nigdy nie zaparły się Tej, co z Jasnej Góry świeci jutrzenką lepszej doli.

Dziś, gdy potężne, a do czynów skore „budzi się sumienie w Narodzie," gdy sztandar, na którym „zespolona Ojczyzna z Chrystusem" widzi garnących się coraz liczniejszych zwolenników ze wszystkich warstw społecznych, gdy rozumni, a szlachetni synowie i córy tej ziemi jaśniejszem okiem patrzą w przyszłość imając się zbożnej dla niej pracy, list Arcypasterski grać poczyna hejnał Maryi, zwołujący cały Naród na wiec, którego celem ponowne obwołanie Hetmanką i Królową Narodu Niepokalanej Bożej Rodzicielki!

Arcypasterz pragnie sprowadzić wszystkich do stóp Niepokalanie Poczętej, aby „głos tej czci Maryi z polskiej ziemi popłynął potężny do tronu Boga," a „niech go usłyszy stolica Piotrowa i błogosławi Ojczyźnie naszej; niech usłyszą ludy świata i schylą czoła przed Narodem, który, choć od ludzi opuszczony, oparł moc i żywotność swoją o Niepokalaną."



Rodzina trędowatych w Agua de Dios.

Nie! nie ma z pewnością serca polskiego, któreby nie odczuło uroku i siły tych słów polskiego biskupa. Ono również nie może być obojętnem na taką prośbę książęcia Kościoła: „Zwracam się do Was, ukochani moi, i proszę, w imię czci i miłości Maryi: wspierajcie tych, którzy nowy tryumf chcą przygotować Maryi w Narodzie i sami wedle możności bierzcie w rzeczy tej poważny udział."

Mamy przeto wskazany i nakazany trud i nie wolno nam już czekać! Wszak nie czeka dziecko, gdy o cześć matki idzie! Nie czeka rycerz, gdy Ojczyzna w potrzebie! Nie czeka Polak, nie czeka Polka, gdy woła Niepokalana!

Do słów tych więc arcypasterskich odwołując się, niżej podpisani, zwracamy się z gorącą prośbą o wspomożenie kongresu pracą i współudziałem.

Działalność wszelka, czy w kierunku jednania tej myśli jak najliczniejszych zwolenników, czy ofiarą pióra, czy też czynnem poparciem komitetu kongresowego w przeprowadzeniu wiecu i uroczystości wrześniowych, będzie spełnieniem życzeń arcypasterkich, a zarazem czynem na wskróś obywatelskim!

„Ludy świata niech schylą czoła przed Narodem naszym!" schylą zaś, jeśli w onym tryumfie pięćdziesiątej rocznicy dogmatu Niepokalanego Poczęcia staniemy społem pod sztandarem Królowej Korony Polskiej.

Za Sodalicyę Lwowską:

Leon br. Dormus
Jan Dylewski
Władysław Jarski (prefekt Sodalicyi akademickiej)
Adam Konopka
Wincenty Kraiński
Andrzej ks. Lubomirski
Prof. dr. Ignacy Łyskowski
Prof. dr. Antoni Mars.

Za Sodalicyę krakowską:

Franciszek Bujak
Kazimierz Lubecki (prefekt Sodalicyi akademickiej)
Lucyan Rydel.

Za Sodalicyę tarnowską:

Tadeusz hr. Łubieński.

Za Sodalicyę samborsko-chyrowską:

Ignacy hr. Bobrowski.

Za Sodalicyę sanocko-przemyską:

August Gorayski.

Za Sodalicyę brzeżańską:

Bolesław Cieński
Kazimierz Traczewski.

Program Kongresu Maryańskiego

w dniach 28. i 29. września roku 1904

WE LWOWIE.

Dzień pierwszy:

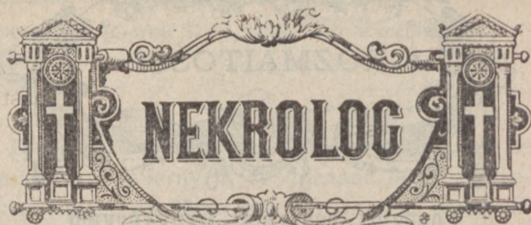
Nabożeństwo pontyfikalne w celu uproszenia błogosławieństwa Bożego dla prac kongresowych.
Otwarcie uroczyste kongresu i pierwsze plenarne posiedzenie.
Praca w sekcyach.
Koncert religijny i przedstawienie sceniczne apoteozy Najświętszej Maryi Panny.

Dzień drugi:

Dalszy ciąg prac w sekcyach.
Wspólne zebranie towarzyskie.
Uroczysta procesya z Archikatedry na Rynek lwowski: Arcypasterze oddają ponownie Naród Matce Przenajświętszej.
Drugie plenarne posiedzenie kongresu i zakończenie.

Wszelkich bliższych szczegółów udziela urzędujący stale komitet kongresowy Sodalicyi Maryańskich, Lwów, ulica Jagiellońska 3.

Sprawy kongresu omawia w każdym numerze organ Sodalicyi *Sodalis Marianus,* Kraków, ulica św. Tomasza 28.



Ś. p. X. Juwenal Bonavia.

Dnia 23. stycznia zasnął spokojnie w Panu X. Juwenal Bonavia, równie pobożny jak uczony kapłan salezyański, misyonarz i redaktor *Buletynu salezyańskiego* wydania angielskiego.

Urodził się 26go października 1865r. w Genola we Włoszech i już od pierwszej młodości odznaczał się bystrością umysłu i dobrocią serca, wyższą nad swój wiek. Po ukończeniu gimnazyum otrzymał w dniu 3. listopada 1881 z rąk X. Bosko suknię duchowną, a w rok potem złożył wieczne śluby jako członek Zgromadzenia salezyańskiego. Powołany do Oratoryum św. Franciszka Salezego w Turynie na nauczyciela i asystenta, pełnił zawsze pilnie i dokładnie swe obowiązki i zażywał szczególnej poufałości X. Bosko. Podobało się atoli Bogu poddać go ciężkiej próbie przez chorobę, której w końcu miał uledz.

Wyświęcony na kapłana, z okazyi otwarcia w Anglii pierwszego zakładu salezyańskiego, został wysłany do Londynu w nadziei, iż zdrowie jego znacznieby na tem zyskało. Tu dał dowody niezwykłej mądrości i gorliwości w pracy dla większej chwały Bożej i zbawienia dusz jego pieczy powierzonych. Usposobienia łagodnego i spokojnego, pojętny, uprzejmy i roztropny, lubiany był od wszystkich. Jego Ekscellencya najprzew. X. biskup Bourne, obecnie arcybiskup Westminsteru, zaszczycał go swoją osobistą przyjaźnią już od czasu, gdy jako rektor seminaryum w Wonersh poznał się z nim przy zwiedzaniu po raz pierwszy naszego domu w Batersea.

Piętnaście lat opierał się dzielnie nieuleczajnej chorobie i zaledwie kilka dni przed zgonem zmuszony był zaniechać swych powinności i ścisłego stosowania się do reguł domowych. Przewidując swój blizki koniec, ostatnie cztery dni swego życia spędził w celi w ciągłej modlitwie, z twarzą pogodną i spokojną. Dzień przed swą śmiercią zapytał się, czy był to piątek lub sobota; gdy mu odpowiedziano: piątek,

odrzekł: „Ach, jak długo trwa ten dzień!“ W ciągu nocy zapytał się ponownie o dzień i godzinę i gdy mu powiedziano, iż była pierwsza i do tego sobota, odparł: „Bardzo dobrze, niezadługo będę w domu!“ Z nastaniem dnia jeszcze kilka razy pytał o godzinę i gdy wreszcie usłyszał, że była dwunasta, z uśmiechem na ustach poprosił o szklankę wody, poczem swobodnie oddał Bogu ducha na ręku współbraci XX. Macey i Kelly, otrzymawszy poprzednio ostatnie pociechy naszej wiary św.

Pogrzeb, który się odbył 26go stycznia, był najlepszym hołdem złożonym temu drogiemu synowi księdza Bosko. Kondukt prowadził O. Prowincyał Karol Macey, w asystencyi licznego duchowieństwa zakonnego i świeckiego i przy współudziale nieprzejrzanych tłumów wiernych. Ciało złożono na cmentarzu w Burwash, w pobliżu tamtejszego naszego zakładu, który on kochał w sposób całkiem szczególny i gdzie równie jak i w Londynie pamięć o nim po wieczne czasy będzie błogosławioną. Módlmy się za jego duszę.



PIERWSZE
DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE
ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO.

ZAŁOŻONEGO PRZEZ

X. Jana Bosko.

NAPISAŁ X. JAN BONETTI.

ROZDZIAŁ XXXVII.

*(Ciąg dalszy).**

Jeżeli zastanowimy się z jednej strony nad trwogą, jaka w owym czasie tak dalece opanowała umysły Turyńczyków, że wielu mieszkańców a nawet lekarzy uchodziło płochliwie z dotkniętego cholerą miasta, a z drugiej weźmiemy pod uwagę wiek i przyrodzoną bojaźliwość, której w podobnych wypadkach podlega młodzież, musimy niewątpliwie dziwić się szlachetnemu porywowi synów ks. Bosko, którego tak wzruszyło boharstwo swych dzieci, że zapłakał z radości i pociechy. Ponieważ atoli pragnął, aby wzniosłe poświęcenie i działalność jego wychowanków przyniosła osobom dotkniętym zarazą jak największy pożytek materyalny i moralny, nim ich wysłał na niebezpieczne pole pracy, udzielił im różnych nader cennych wskazówek.

W przebiegu straszliwej choroby można było zwykle zauważyć dwa różne okresy, mianowicie napad, który bywał zazwyczaj śmiertelny, jeżeli chory nie doznawał rychłej pomocy, i reakcyę czyli przeciwdziałanie, które wywoływało w ciele obieg krwi i w ten sposób ratowało wielu chorych. Z tego względu kto pragnął nieść ulgę choremu, musiał wytknąć sobie za cel przemożenie gwałtownego napadu przeciwdziałaniem, które można było wywołać sztucznie przez umiarkowane nacieranie i przez ciepłe okłady skurczonych i zlodowaciałych kończyn ciała. Pod tym względem ks. Bosko wyuczył i wyćwiczył swych młodych infirmarzy tak gruntownie, że mogli uchodzić za improwizowanych medyków. Szczególniejsze jednak znaczenie miały jego rady, odnoszące się do moralnej strony chorych i do ich zbawienia wiecznego; w tej sprawie było zadaniem i najściślejszym obowiązkiem każdego infirmarza przywoływać kapłanów do łoża chorych, aby im gwałtowną śmierć osłodzić pociechami religijnemi a duszę wzmocnić zbawiennymi skutkami Sakramentów św.

Gdy młodzieńcy pod obu tymi względami byli dostatecznie pouczeni, ułożono rozkład godzin i podzielono ich na kilka oddziałów. Jedna grupa miała pielęgnować chorych w lazaretach, druga w domach prywatnych; niektórym wyznaczono pewne rodziny, a inni krążyli po mieście i dowiadywali się o opuszczonych i zapomnianych ofiarach cholery; kilku wreszcie tworzyło pogotowie ratunkowe, które miało swą siedzibę w Oratoryum, a na zawołanie spieszyło czemprędzej do łoża nieszczęśliwej istoty.

Skoro mieszczaństwo powzięło wiadomość, iż chłopcy z Oratoryum poświęcają się pielęgnowaniu chorych, zaczęto się tak natarczywie dobijać ich pomocy, że już po tygodniu musiano odstąpić od pierwotnego rozkładu godzin.

(*) Zob. n. 11. z. r.

Krewni, sąsiedzi, znajomi i sama gmina, wszyscy prosili usilnie o kilku chłopców, którzy, nie pozwalając sobie na chwilowy odpoczynek, od wczesnego rana do nocy uwijali się po ulicach, szpitalach i domach. Bywały dni, w których ich całodziennem posileniem była sucha bułka, zabrana z Oratoryum, a spożyta to na ulicy, to w jakiejś portyerni lub na schodach domów i szpitali. Nawet nocą nie mieli spokoju: przy bramie zwykle można było spotkać wychodzących i wracających; jeden kładł się do snu, kiedy kilku innych zrywało się właśnie z pościeli; nieraz do samego rana bawili u chorych lub czekali na zawołanie zatrwożonych i zapłakanych zwiastunów świeżych wypadków zarazy. Charakterystycznemi były spokój, zadowolenie i dobry humor, które zawsze tym pracom nocnym towarzyszyły, łagodząc wyniszczenie ciała i tłumiąc skutki lichego pokarmu i bezsenności.

Z początku przez wzgląd na bezpieczeństwo osobiste zaopatrywano się w buteleczki octu, dozy kamfory i tym podobne środki ochronne, a z powrotem myto się i dyzinfektowano starannie; lecz w następnych dniach, wskutek pomnożenia się pracy, zaczęto te przezorności coraz częściej zaniedbywać, aż je w końcu zaniechano zupełnie. Wszelkie inne myśli musiały ustąpić, troszczono się tylko o chorych, a własne osoby oddano w opiekę Opatrzności Boskiej.

Z czasem pomoc udzielana chorym przez Oratoryum przestała być wyłącznie medyczną; ks. Bosko pozostawał wprawdzie ustawicznie w niedostatku, ale dla chorych postanowił poświęcić rzeczy nawet najniezbędniejsze. Często trafiało się, że odnaleziony gdzieś na strychu chory nie miał ani prześcieradła, ani kołdry, ani koszuli. Młodzieniec, który taki stan rzeczy sprawdzał, wróciwszy do domu, udawał się do mamusi Małgorzaty i opowiadał wzruszające szczegóły o nędzy ludzkiej, a Małgorzata, wzruszona często do łez, udawała się do domowego składu bielizny i według potrzeby uszczuplała go, wręczając chłopcom niezbędne dla chorych przedmioty. Jeden wynosił koszulę, inny kołdrę, ten prześcieradło, ów ręcznik i t. d. Po kilku dniach skład bielizny przestał istnieć, a w domu pozostało tylko to, co noszono na sobie lub miano na łóżku. Pewnego dnia przypadł do matki Małgorzaty jeden z młodych infirmarzy z doniesieniem, że pewien biedny robotnik, dopiero co tknięty chorobą, wije się z boleści na nędznej pościeli bez prześcieradła i kołdry i prosił dlań o jaki szmat płótna. Miłosierna niewiasta zaczęła przeglądać dom w nadziei, że może jeszcze co wyszpera i w rzeczy samej znalazła — obrus stołowy. Nie pytając o więcej, oddaje go młodzieńcowi, mówiąc: „oto ostatni przedmiot naszej garderoby! Weźmij, idź do chorego i przykryj go obrusem, skoro nic innego nie mamy.“

Tak znaczne i podziwu godne były usługi, jakie chłopcy z Oratoryum oddali osobom zarażonym cholerą, że najlepszy z ówczesnych dzienników zdając sprawę z miłosierdzia okazanego przez duchowieństwo katolickie podczas zarazy, poświęcił naszym chłopcom piękny artykuł, który tu przytaczamy na stwierdzenie wiadomości podanych w tym rozdziale.

„W kronice uczynków miłosiernych, którymi się duchowieństwo w czasie cholery odznaczyło, mieliśmy już sposobność zaznaczyć poświęcenie, z jakiem się na usługi chorych oddali OO. Dominikanie i XX. Oblaci Matki Boskiej Pocieszycielki. Ich czyny wykazują nam, że gorliwość kapłańska byłaby w tej stolicy zajaśniała nowym blaskiem, gdyby Opatrzność inaczej była pokierowała nami i przebiegiem zarazy.

„Moglibyśmy się szeroko rozwodzić nad pracą duchowieństwa, które swoim wpływem bardzo skutecznie zwalczało przesądy ciemnego pospólstwa względem medyków i lekarstw. Księża, których działalność podkopują sekciarskie i wyuzdane piśmidła zniewagami i oszczerstwem, mieli tę wielką pociechę, iż dotknięty zarazą proletaryat, odpychając hardo od siebie lekarza, wyciągał drżące ręce ku kapłanowi spieszącemu z pomocą duchowną i materyalną. Widzieliśmy, że jedno słowo kapłana takie miało u tego ludu znaczenie, iż kto się wpierw obawiał lekarza więcej niż własnej choroby, za radą duchowieństwa poddawał się medykom i chętnie przyjmował lekarstwa, w których przedtem truciznę upatrywał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Za pozwoleniem władzy duchownej—Redaktor odpowiedzialny: JÓZEF GAMBINO—Drukarnia salezyańska. Turyn, 1904.

PROŚBA DO OJCA ŚW. PAPIEŻA PIUSA IX.

Ojcze Święty,

Od czasu, kiedy Świątobliwość Wasza raczyła ostatecznie zatwierdzić maluczkie *Zgromadzenie św. Franciszka Salezego*, liczba jego członków znacznie się pomnożyła i również pole, pracy jemu powierzonej, rozszerzyło się odpowiednio. Zaczem i potrzeby nasze także się wzmogły, a z rosnącemi potrzebami wzrastał niemniej i zastęp gorliwych kapłanów i osób świeckich, którzy się oświadczyli z gotowością wspierania nas w pracy około zbawienia dusz ludzkich. Atoli ci wszyscy, uznając potrzebę jednolitego a trwałego działania, domagali się pewnych stałych przepisów postępowania, opartych na niewzruszonych podstawach naszej religii. Ojcze Święty, oto w tym celu ułożyłem ustawy dla tak zwanych **Pomocników salezyańskich**, które mają za zadanie wezwać ludzi dobrej woli, żyjących w świecie, ażeby pomagali w pracy na niwie, do której powołał Pan *Pobożne Towarzystwo salezyańskie.*

Świątobliwość Wasza raczyła ustawy one po dojrzałem zbadaniu pobłogosławić i je łaskawie wiernym zalecić. Stąd wielu Biskupów wprowadziło je do swoich dyecezyi, a obecnie listami swymi pochwalnymi skłonili mnie, abym błagał Waszą Świątobliwość, iżby ze szczególniejszej swej łaskawości raczyła otworzyć dla nich skarby świętych Odpustów. W ten sposób będzie mógł każdy być pewnym, że Świątobliwość Wasza kierunek działania i prace w *kaplicach świątecznych* pochwala i błogosławi, a Pomocnicy salezyańscy doznają ukrzepienia zbawiennego ze strony Religii, dla której z gotowością ponoszą ofiary i trudy.

Błagamy przeto Świątobliwość Waszą, ażeby *zakonnikom Salezyanom* i ich *Pomocnikom* łaskawie raczyła udzielić następujących odpustów:

1. Odpust zupełny w godzinę śmierci, jeżeli ze swego życia Bogu złożą ofiarę i z uległością przyjmą ten rodzaj śmierci, jaki się Jemu zesłać będzie podobało.

2. Odpusty i łaski duchowne, jakich dostępują Tercyarze zakonu św. Franciszka z Asyżu.

3. Ażeby odpustów, przywiązanych do kościołów i świąt św. Franciszka z Asyżu, dostępować można w święta św. Franciszka Salezego i w kościołach *Zgromadzenia salezyańskiego*.

Pełen ufności, że Świątobliwość Wasza dobrotliwie udzieli nam łask, o jakie Ją prosimy, błagam pokornie o osobne błogosławieństwo Apostolskie dla wszystkich Pomocników i Dobrodziejów Zgromadzenia, i składam wyraz najgłębszej czci i synowskiego uszanowania, z jakiem pozostaję

Świątobliwości Waszej

oddany i wdzięczny syn

ksiądz JAN BOSKO.

W Turynie, dnia 4 marca 1876.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).



ZWIĄZEK MSZALNY OŚWIĘCIMSKI

czyli

OFIARA 1 KORONY AUSTR.

na

KOŚCIÓŁ MATKI BOSKIEJ, WSPOMOŻENIA WIERNYCH,

i na

ZAKŁAD X. BOSKO

w

OŚWIĘCIMIU,

odwzajemniona uczestnictwem w korzyści duchowej z **12 Mszy św.**, które w nowowybudowanym kościele za ofiarodawców **corocznie i po wieczne czasy** odprawiać się będą.

Wyszczególnienie.

1. — Prawa wpisania się do niniejszego ZWIĄZKU MSZALNEGO nabywa każdy wierny, składający na *zakład* i *kościół salezyański* w Oświęcimiu ofiarę nie mniejszą od **1** *korony* austr. (**1** *marki*, lub **50** *kopiejek*).

2. — Wpisani uczestniczyć będą, tak za życia, jak i po śmierci, jeżeliby tego zaszła potrzeba, w **12** Mszach św., które XX. Salezyanie zobowiązują się odprawiać *corocznie* i *po wieczne czasy* w mającym powstać ze składek i ofiar kościele i przed ołtarzem Matki Boskiej, Wspomożenia Wiernych. Jedna z tych Mszy św. odprawianą będzie w samą uroczystość Matki Boskiej, Wspomożenia Wiernych, czyli 24go maja.

3. — Kto więc złoży jednorazową ofiarę w ilości **1** *korony* austr. (1 *marki*, lub 50 *kopiejek*), będzie miał prawo do udziału w intencyi onych **12** Mszy św. tak na własną korzyść, jako też na korzyść drogich jego sercu osób żywych i umarłych, tudzież do zamiany intencyi w jakiejkolwiek okoliczności wedle szczególnych swoich potrzeb i życzeń.

4. — Składając takąż samą ofiarę może każdy w taki sam sposób zapisać dzieci, osoby nieobecne, zmarłych, jednem słowem kogokolwiek, *nawet bez jego wiedzy*.

5. — Chcąc zaś uczestniczyć jeszcze obficiej, albo umożebnić drugim uczestniczenie obfitsze w korzyści duchowej niniejszego ZWIĄZKU MSZALNEGO, może każdy, ponawiając wspomnianą ofiarę **1** *korony* austr. (1 *marki*, 50 *kopiejek*), równocześnie pomnażać, ile mu się podoba, wpisy, tak za siebie, jako i za drugich, bądź żywych, bądź umarłych, lub też złożyć *jednorazową* większą ofiarę.

6. — Imiona i nazwiska wpisanych umieszczą się w osobnych ku temu książkach i będą się przechowywać na wieczną pamiątkę w kościele Matki Boskiej, Wspomożenia Wiernych, w Oświęcimiu.

7. — Związek niniejszy ma swą główną siedzibę w Oświęcimiu (Galicya).

Ofiary i wszelkie korespondencye najlepiej przesyłać pod adresem:

AUSTRYA
OESTERREICH.

Wielebny X. Dyrektor Zakładu X. Bosko
OŚWIĘCIM
Galicya.

L. 4675.

Pozwalamy drukować

✠ JAN,
książe Biskup.

Kraków, 13 pazdz. 1898.